Numer 39 Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 25 Września 1927**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Historja naturalna.

Nauczyciel: — A więc niedźwiedź zapada w sen zimowy. Czy możesz mi wymienić jeszcze inne stworzenie, które śpi również długo?

Fredzio: — Tak, święty Mikołaj, tylko z tą różnicą, że on zasypia na lato.



Ważna przyczyna.

— Meldują pokornie wielmożnemu panu dziedzicowi, co ta graniasta krowa, którą wielmożny pan kupił niedawno, już mleka nie daje.

— Cóż to... Nie karmicie jej?

— Karmić... byśmy karmili, ale ona sama jeść nie chce.

— Więc chora?

— Chora nie jest, tyla, że się nie rusza.

— Cóż jej tedy?

— A no, mówiąc poprostu, zdechła onegdaj.



Nie ma powodu.

— Późno już. Czas wracać do domu. Dobranoc.

— Dobranoc. A cóż żona mówi, gdy tak późno wracasz?

— Żona? Ja przecie nie jestem żonaty!

— Nie?... To dlaczego późno wracasz?



Czyja prawda?

Adwokat, który wygrał proces, donosi o tem swemu klijentowi następującym telegramem:

— „Prawda zwyciężyła“.

Tego samego dnia otrzymuje depeszę od swego klijenta:

— „Proszę wnieść apelację“.



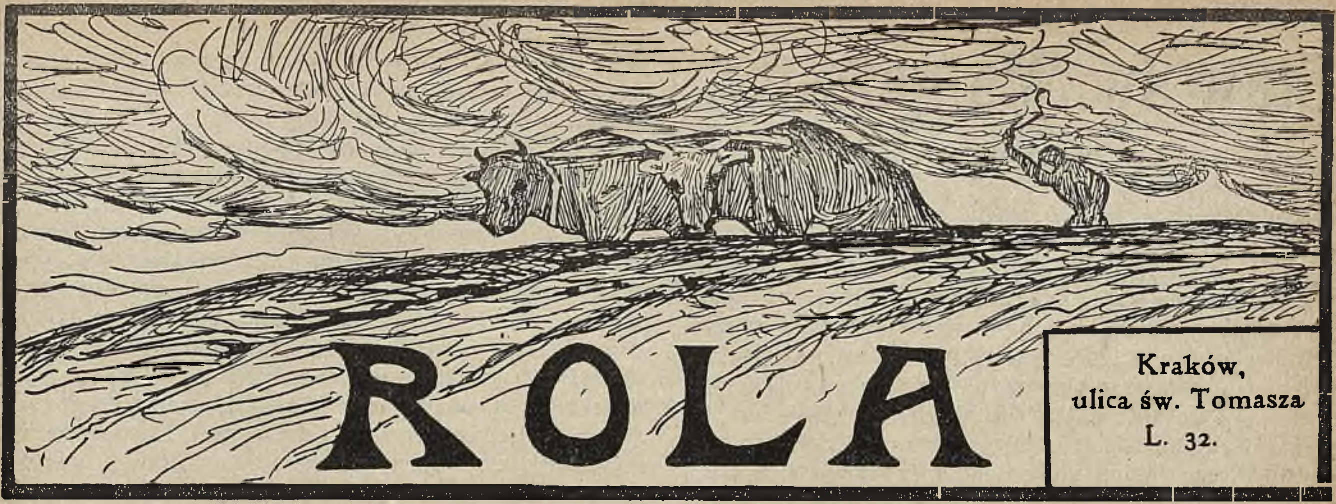
Każdy chce żyć.

— Gdy jestem chory, idę do doktora, — doktor też musi żyć. Potem idę z receptą do apteki — aptekarz też musi żyć. Gdy wrócę do domu, wrzucam lekarstwo do ognia.

— Pocóż to robisz?

— Ja też muszę żyć.

Numer 39. Rok X. Kraków, dnia 25 Września 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Charakter.

Tak często można słyszeć powiedzenie: »To jest człowiek bez charakteru!« albo: »Ten człowiek ma piękny charakter«. I cóż to jest ten charakter? Oto nic innego, jak najczystsza moralność, na której się opiera całe życie. Ale nie ta moralność zdawkowa, na której wszystkie dewotki życie swoje opierają, którą mydlą ludziom oczy, aby móc żyć tak, jak im dogodniej a nie tak, ak tego społeczeństwo wymaga.

A moralność poznaje się po pytaniach zadawanych sobie przed dokonaniem jakiegoś czynu: „Czy to dobrze?“ „Czy to sprawiedliwie?“ „Czy się to godzi?“ „Czy mógłbym się do mojego czynu przed światem przyznać?“ Odpowiedź na te pytania, jaką otrzymamy od sumienia, wskaże nam co czynić, by nie uchybić moralności. Ileż to razy zdarza się, że ktoś bądź wypowiada drugiej osobie najświętsze uczucia, lub odczuwać je tylko daje, ale czyni to tak, aby się świat o tem nie dowiedział. I czyż taki człowiek posiada choć trochę charakteru?! Cokolwiek czynimy, powinniśmy mieć odwagę przyznać się do tego bez względu, czy czyn nasz uzna opinja publiczna za zły, czy za dobry w swem ludzkiem zrozumieniu. Kto czyni coś z rozmysłem, a potem obawia się przyznać do tego, ten jest człowiekiem bez charakteru.

Charakter stanowi człowieka, a nie opinja publiczna. Charakter jest wewnętrzną wartością człowieka, a nie wartością jego na targu opinji publicznej. Charakter jest koroną i chwałą życia. Charakter cechuje każdy stan, podnosi każde stanowisko w społeczeństwie, wywołuje szacunek i zdobywa zaufanie drugich. Kto posiada silny charakter, o tem można powiedzieć, że jest to człowiek doskonały w całem tego słowa znaczeniu. Zdobycie charakteru powinno być najgłówniejszym i najważniejszym celem życia każdego człowieka. Charakter stanowi większą siłę i większe ma znaczenie niż wykształcenie i majątek.

Człowiek musi być jednem z dwóch: drzewem chwiejącem się za poruszeniem wichru, lub też wichrem, który drzewami miota. Chociaż wiemy, co dobre, a co złe, jednak nie zawsze to dobre wybieramy i czynimy. A zatem czegoś więcej potrzeba prócz znajomości różnicy między dobrem a złem. Tem jest wola, wola czynienia tego, a nie tamtego, gdy pokusy walczą przeciw wewnętrznemu głosowi sumienia. To też, by posiadać charakter, trzeba mieć silną, wykształconą wolę, wolę ugruntowaną w prawdzie i sprawiedliwości.

Pewien uczony powiedział: „Ruchy, słowa, spojrzenia — to alfabet, zapomocą którego można wysylabizować charakter“. U każdego człowieka łatwo da się więc poznać charakter. Człowiek o dobrym charakterze nigdy nie kłamie, zawsze słowa dotrzymuje i każdemu śmiało w oczy spogląda. Człowiek bez charakteru lawiruje w życiu, jak może, aż w końcu zaplątawszy się w swe chwiejne czyny ginie na zawsze, dla społeczeństwa, jako człowiek szacunku godny.

Charakter stanowi większą wartość aniżeli największy kapitał. Prawdziwe szczęście nie leży w bogactwie, ni w władzy, ni w chwale i zaszczytach, lecz w prawdziwem człowieczeństwie, które umie w właściwy sposób korzystać z powyższych dóbr i posiąść je dla dobra i szczęścia bliźniego.

Silna wiara — to najlepsza religja, dobre życie — to najlepsza filozofja, czyste sumienie — to najlepsze prawo, uczciwość — najlepsze świadectwo, wstrzemięźliwość — to najlepsze zdrowie. A ten tylko cnoty te posiada, kto posiada charakter. Człowiek bez charakteru jest zerem, zawalidrogą i wyrzutkiem społeczeństwa.

Wszelkimi siłami wyrabiajmy więc w sobie charakter, abyśmy z dumą mogli patrzyć w twarz naszych bliźnich.

Staw św. Małgorzaty.

Skutki obrad.

Wniespełna trzy tygodnie po opisanej powyżej naradzie, zebrali się znowu ławnicy miasta i pan burmistrz Fabrycy na ponowną naradę. Właśnie wrócili deputowani, wysłani do księcia Oleśnickiego i przywieźli odpowiedź od niego. A przechodziła ona wszelkie oczekiwania nienawistnego księdzu plebanowi magistratu. Książę zaś, chcąc sobie zjednać mieszczan bytomskich, nietylko, że zakazał im dawać dziesięciny z kruszcu dobywanego z kopalni, lecz polecił im jeszcze, aby wszyscy zamiast do farnego kościoła, chodzili na wszystkie nabożeństwa do kościoła św. Małgorzaty i tam oddawali swe czynsze, a wreszcie, by zmusić księdza plebana do ustąpienia z probostwa, kazał należące do probostwa 60 morgów gruntu zabrać i puścił je w dzierżawę młynarzowi bytomskiemu.

Szalona, prawdziwie szatańska radość zapanowała w całem zgromadzeniu, gdy posłowie odczytali odpowiedź księcia.

— Wam to, panie burmistrzu — rzekł mistrz rzeźnicki Lorenz — zawdzięczyć winniśmy i utrzymanie nas w prawach naszych i to, że przecie raz upokorzymy naszego przewielebnego księdza plebana.

— Jak nie będzie miał z czego żyć — dodał Wojtacha, syndyk miejski — zacznie on inaczej śpiewać; upokorzy się przed nami i pięknie sam nas przyjdzie prosić o przebaczenie.

— A może się nawet i wyniesie — dorzucił inny — widząc, że nie wskóra wiele z nami, i że za sobą mamy księcia.

— Byłoby to dlań najrozsądniejszem — dodał od niechcenia burmistrz — zresztą na wszelki wypadek życie mu tu już należycie osłodzimy.

Po tych słowach burmistrza rozeszło się to zacne zgromadzenie z radością w sercu, że zdołało nasycić zemstę powziętą przeciw księdzu plebanowi.

Daremne były przedstawienia księdza plebana, odwoływanie się do Boskiej i ludzkiej sprawiedliwości, radcy z burmistrzem bezzwłocznie i z całą surowością wypełnili życzenie księcia Oleśnickiego. Zacny proboszcz ujrzał się naraz bez sposobu do życia. Mieszczanie poczęli chodzić wszyscy na nabożeństwa do kościoła św. Małgorzaty, tam odprawiali śluby, chrzty, pogrzeby i tamże oddawali swe powinności. Młynarz przy pomocy burmistrza i hajduków miejskich zabrał obsianą już przez plebana rolę na swój użytek, stąd zaczęła się nędza na plebanji, tak, że staruszek pleban kontent był, gdy kapkę mleka mógł mieć do kawałka suchego chleba na obiad, a była obawa, że wnet i tego zabraknie. Zwrócił się wprawdzie ksiądz pleban z prośbą o poparcie do księcia cieszyńskiego i tenże polecił plebana przywrócić do wszystkich dawnych praw jego, ale Bytomianie drwili sobie z tych poleceń jego. Tymczasem zaskoczyła i śmierć księcia Przemysława, a z nią upadła i nadzieja odzyskania należnych mu praw i przywilejów.

Jedni Rozbarczanie tylko pozostali wierni swemu pasterzowi, ale mniejsi liczbą, słabsi powagą jako z przedmieścia, nie przedstawiali należytego punktu oparcia.

Wobec tego nie pozostało księdzu Piotrowi nic innego, jak tylko zwrócić się do spólnego ojca chrześcijaństwa, do Ojca św. w Rzymie i tam prosić tego następcy Apostołów o wymierzenie mu sprawiedliwości. Idąc przeto za radą innych braci kapłanów, przyjął sobie na księdza kapelana Mikołaja z Pyskowic, któremu powierzywszy zarząd parafji, sam udał się w drogę do Rzymu.

Ksiądz kapelan zajął się gorliwie powierzoną mu trzodą, odprawiał jak najpunktualniej nabożeństwa w kościele farnym, kazał dzwonić na nie, miewał żarliwe i pełne namaszczenia kazania, ale Bytomianie trwali w swoim uporze. Do kościoła farnego nikt nie chciał uczęszczać, ławki bywały puste. Znudził się wreszcie magistratowi taki bierny tylko opór i postanowił iść dalej zaczepną drogą. Pod pozorem więc, że ksiądz kapelan w kazaniach swoich ubliża powadze magistratu i burmistrza (nikt z nich na te kazania nie chodził), kazali kościół farny zamknąć i opieczętować.

List papieski.

Ksiądz Piotr z Koźla, pleban bytomski, bawił tymczasem w Rzymie. U Ojca św. będąc, przedstawił mu całą sprawę i uzyskał sprawiedliwość, przywrócony został do dawnych swych gruntów i praw i otrzymawszy list papieski do magistratu miasta, zabrał się do powrotu do kraju. Spieszył się biedaczysko, bo i krucho było z funduszami, ale że to inne były czasy, w których ludzie nie znali jeszcze siły pary, a zatem nie było kolei, na konie zaś nie zawsze starczyły pieniądze, przeto zeszły mu całe dwa lata na tę podróż.

Powróciwszy jednak do domu, zastał ku niemałemu zdziwieniu kościół zamknięty, plebanję całą opustoszoną i zrujnowaną.

— Co się tu stało, księże Mikołaju, powiedzcie przecie? — zapytał ksiądz Piotr swego kapelana. Ten opowiedział mu wszystko i dodał, że wyjazd księdza plebana jeszcze bardziej rozjątrzył magistrat przeciw niemu.

— Nierozsądni! Ale sądzę, że nabiorą przecież rozumu na głos najwyższego Pasterza całego chrześcijaństwa! Otóż widzicie, przywiozłem tu list od Ojca św. do magistratu miasta, gdzie Namiestnik Chrystusa w ojcowskich słowach wzywa ich do upamiętania się, przywraca mię do wszystkiego, co mi się z prawa Boskiego i ludzkiego należy, a wreszcie grozi, że jeśliby nie chcieli temu dać posłuchu, to spadnie na nich klątwa.

— Klątwa? — zawołał ksiądz kapelan.

— Tak jest, bracie — odrzekł proboszcz. — Klątwą im grozi Stolica Apostolska. I mnie upoważniła do rzucenia jej, gdyby nieposłusznymi się okazali. Straszna ta rzecz, ja nie chciałbym dopuścić też nigdy do tego i sądzę, że tak dalece nie przyjdzie.

Ksiądz pleban wziął się przedewszystkiem do kościoła, zwołał ludzi i kazał otworzyć drzwi i naprawiać ogrodzenie wokoło cmentarza, sam zaś postanowił udać się z listem papieskim do burmistrza. Odradził mu to jednak ks. kapelan, mówiąc, że lepiej przez posła to zrobić. Usłuchał ks. Piotr rady i wysłał Bernarda Wyrwickiego, zakrystjana bytomskiego kościoła, kazawszy mu się przybrać odświętnie z listem do Rzymu do pana Fabrycego. Gdy Fabrycy przeczytał list papieski, wpadł w istną wściekłość i szał; rzucał się, pluł, tupał nogami, wreszcie oszołomiony kazał dzwonić na gwałt w dzwon na ratuszu będący. Korzystając przeto z chwili, gdy nań nie zwracano uwagi, wymknął się zakrystjan i pobiegł do księdza plebana zdać sprawę z tego, jak go przyjęto. Na głos

wszakże dzwonka, którym zwykle na szturm, dla odparcia wroga dzwoniono, powstał ogromny popłoch w mieście. Wszyscy sądzili, że nadeszła wieść o jakim nadciągającym nieprzyjacielu. Zaczęły się przeto zbierać wszystkie cechy: rzeźników, tkaczy, kowali, krawców, szewców i stolarzy, ile ich tylko było w Bytomiu. Każdy uzbrojony należycie, spieszył na wyznaczone sobie stanowisko. Rozstawiano straże przy bramach, na murach, a wszyscy oczekiwali co nastąpić miało.

— Pewnie Tatarzy nadchodzą, powtórzą się te straszne czasy z przed stu laty — mówili ludzie między sobą, zamykając spiesznie bramy miasta i porządkując hufce zbierające się około murów. A tymczasem był to tylko napad złości pana burmistrza.

Radcy zebrali się spiesznie do sali posiedzeń, nadszedł i pan Fabrycy, trzęsący się i blady od gniewu. Następnie odczytał zebranym pismo papieskie i zasięgnął rady. Wszyscy zgodzili się na to, by wezwać plebana i kapelana przed sąd miejski i tu ich ukarać za to, że się ośmielili szukać dla siebie sprawiedliwości w Rzymie. Wysłano też natychmiast woźnego sądowego Kaczynę i chorążego miasta Klukowieckiego, by sprowadzili obu kapłanów do sali posiedzeń. Ci przybywszy na plebanję, przedstawili duszpasterzom, poco przybyli. Po krótkiej więc naradzie, widząc, że się tu na coś złego zanosi, rzekł kapelan do proboszcza:

— Wy księże Piotrze, zostańcie w domu. Zanadto złość zawładnęła umysłami burmistrza i rady miejskiej, mogliby Wam ubliżyć. Niech się umysły nieco uspokoją; pójdę sam. Wezmę ze sobą Przenajświętsze Ciało Zbawiciela. Może widok ten Syna Bożego i słowa miłości, którei do nich przemówię, ułagodzą ich umysły. Uczczą Boga najprzód, a potem sądzę, że i nas, Jego sługi uszanują.

Ksiądz pleban uznał całą słuszność propozycji księdza kapelana i przyjął ją, chociaż w asystencji kapelana niosącego utajonego Zbawiciela, gotów był udać się także na ratusz.

Tymczasem wpadł na plebanję Barnard Wyrwicki, zakrystjan i opowiedział w urywanych słowach, że bramy miasta już zamknięte, a lud się zbrojny gromadzi, z ratusza zaś biegną mieszczanie z powrozami, by skrępować obu księży i jak najgorszych winowajców poprowadzić na sądy do ratusza. Wobec tego obaj księża postanowili ratować się ucieczką.

Straszny dzień.

W owych czasach, a były to czasy wojenne, kiedy to dzikie hordy Tatarów napadały często nasz kraj, łupiąc i niszcząc wszystko, a ludzi uprowadzając w niewolę, jasyr zwaną, gdy i książęta liczni ze sobą walki staczali, napadając się wzajemnie i wydzierając posiadłość , każde prawie miasto prócz wałów, rowów, murów i wież miało jeszcze jeden środek, już nie dla obrony, ale dla ocalenia przynajmniej życia obywateli. Były tym środkiem podziemne ganki, kurytarze, które łączyły piwnice ratusza, domów znaczniejszych obywateli, ciągnęły się pod całem miastem i wychodziły aż poza jego mury gdzieś w dalekie lasy. I Bytom posiadał takie podziemne Gliwickiej, a prowadząc aż do lasu „Gaj“ zwanego, gdzie dziś Schönwald leży. Z tego podziemnego wyjścia postanowił teraz skorzystać ks. pleban. Podczas, gdy ks. Mikołaj przez ogród się puścił, uciekając przed rozwścieklona tłuszczą mieszczan, pleban zszedł do piwnicy swojej i z niej wiadomą sobie drogą począł uciekać podziemnym gankiem. Hałas, który go z góry dochodził, dodawał sił nadwątlonym wiekiem kościom, biegł szybko krętymi gankami. W pośpiechu jednak nie mógł zabrać ze sobą światła, nie mógł też dobrze widzieć ani drogi, ani przeszkód możebnych na drodze. Naraz uderzył biegnąc głową o wystający jakiś filar. Uderzenie było tak silne, że stracił w tej chwili przytotmność i upadł na ziemię.

Tymczasem mieszczanie wpadli na plebanję, a nie widząc nigdzie ks. Piotra, poczęli przeszukiwać wszystkie kąty, czy się gdzie nie ukrył, ale go nigdzie nie znaleźli. Wtem jeden z nich, Borawka, ujrzał otwarte drzwi do piwnicy. Dorozumieli się tedy zaraz, że proboszcz uciekł im podziemnym kurytarzem, wziąwszy przeto ze sobą światło, puścili się za nim w pogoń i w chwilę potem stanęli na miejscu, gdzie ks. Piotr leżał bez zmysłów na ziemi. Uradowani, skrępowali go czemprędzej powrozami i podziemiem idąc w prawo, zawlekli go aż do piwnicy burmistrza, skąd go na ratusz zanieśli.

Tu już znajdował się skrępowany ksiądz kapelan. Puścił się on przez ogród plebański ku bramie Tarnowskiej, myśląc, że tu koło szybów uda mu się może umknąć i znaleźć schronienie poza miastem. Omylił się jednak. Stał tu już silny oddział zbrojnych w topory czeladzi cechu rzeźnickiego pod dowództwem mistrza Lorenza. Ten ujrzawszy zdala uciekającego księdza kapelana, puścił się za nim w pogoń z kilku towarzyszami, dogonił go i poleciwszy mu związać ręce i nogi i zatkać usta, w tryumfie zaprowadził na ratusz.

Gdy pleban przyszedł nieco do siebie, powiódł oczyma, by zmiarkować, gdzie się znajduje. Któż opisze jego przerażenie, gdy spostrzegł, że się znajduje w sali sądowej ratusza skrępowany powrozami, tuż obok księdza Mikołaja, również powiązanego. Naokoło ani jednej twarzy przyjaznej, sami zbrojni ludzie, a opodal burmistrz zaperzony z radcami. Westchnął do Boga o pomoc w tem przykrem położeniu, a nabrawszy odwagi, odezwał się w te słowa:

— Posłuchajcie mię, panie burmistrzu, i wy, panowie radni! Podnieśliście rękę waszą na Pomazańców Pańskich, dopuściliście się zbrodni do Boga o pomstę wołającej. Upamiętajcież się, a nie posuwajcie zadaleko w zapamiętałości waszej. Zaklinam was na Boga żywego, nie ściągajcie na siebie pomsty Bożej i gniewu Stolicy Apostolskiej. Uwolnijcie nas z tych pęt, przywróćcie do praw naszych, a jako sługa Boga miłościwego przebaczę i puszczę wszystko w niepamnęć, co zaszło.

— Hola! hola! księże plebanie — odparł na to szydersko syndyk Wojtacha — nie my tu twego przebaczenia prosić będziemy, ale ty za chwilę litości naszej żebrać będziesz! Wyście tu księże Piotrze teraz w naszej mocy i wasze życie od naszej zależy woli.

— Życie moje i ja w mocy Boga i od woli Jego świętej zależy — odparł pleban.

— Przekonacie się o tem za chwilę, że od naszej woli jedynie wtrącił bluźnierczo Fabrycy.

Burmistrz i radni zajęli miejsca i rozpoczęli swe niesprawiedliwe sądy. Wszyscy chcieli zgubić proboszcza, zgóry to było ułożone, szło tylko o zachowanie jakiejś formy. Mimowoli każdemu, patrzącemu na te obrady, nasunąć się musiało wspomnienie Zbawiciela stojącego przed niesprawiedliwym sądem Piłata. Bo i tu wystąpili teraz fałszywi świadkowie z oskarżeniami zmyślonemi. A pierwszym z nich był syndyk miasta Wojtacha, mówiąc, że pleban niesłu-

sznie wcale przez lata całe dzierżył 60 morgów roli, które dopiero teraz miłościwy książę Oleśnicki mu odebrał i zwrócił miastu, jako prawną jego własność. Była to ta sama rola, którą książę kazał wydrzeć plebanowi, a puścił w dzierżawę. Na poparcie tego radził z plebanji przynieść skrzynię, zawierającą papiery i dokumenta tyczące się plebanji.

— On nam ich nie pokazuje — mówił — strzeże ich pilnie, a nas oszukuje, że ma tam przywileje przez książąt. — Teraz się naocznie przekonamy o prawdzie.

Wszyscy zebrani z okropnym krzykiem radości przyjęli wniosek syndyka. Posłano więc natychmiast na plebanję czterech hajduków, którzy za chwilę przynieśli ciężką skrzynię, w której mieściło się archiwum parafji, przywileje i fundacje, jako też wszystkie dokumenta odnoszące się do plebanji bytomskiej. Teraz mieli je przeglądać i badać panowie radni z panem burmistrzem na czele. Wiedzieli oni wszyscy aż nadto dobrze, że wszystko co pleban mówił, prawdą było najszczerszą, że tylko oni dopuścili się bezprawia, wydzierając mu grunta, to też pan burmistrz wiedząc o tem, ani myślał przeglądać i badać tych papierów, szło mu tylko, by je dostać w swe ręce. Zaledwie też skrzynię postawiono, porwał się szybko z siedzenia i skinął na jednego z hajduków, by rozniecił ogień na kominie w sali radnej.

Gdy podważono toporem wieko skrzyni, porwał szybko cały zwój aktów spisanych na pergaminie, opatrzonych wielkiemi pieczęciami z wosku, a przywiązanemi jedwabnymi sznurami do tychże i wrzucił je w płonący ogień.

Na ten widok uniósł się ksiądz Piotr słusznym i sprawiedliwym gniewem i rzucił klątwę kościelną na burmistrza i na wszystkich obecnych radców. Powstało przerażenie śród zebranych. Wiara panowała wtedy jeszcze silnie pośród ludzi i ta największa kara, jaką Kościół św. na nieposłuszne swe dzieci zwykł wymierzać, wywarła silne wrażenie.

Wnet jednak zerwał się syndyk miasta, a wykrętnemi słowy tłumacząc, że klątwa nieważna, bo proboszcz rzucił ją leżąc na ziemi, nie stojąc i nie w kościele, rozdmuchiwał dalej zażartość i nienawiść przeciw ks. Piotrowi. Pochwalił burmistrza postępek, a księdzu Piotrowi radził chustkami zatkać usta, by dalej obradom nie przeszkadzał.

— Pewne to, iż papiery same tylko fałsze zawierały, a kłamstwo i fałsz ze świata usuwać trzeba i to jest naszym szczególnym obowiązkiem — mówił pan syndyk.

(Dokończenie nastąpi).

Miasta boleści.

Trąd należy do największych plag, trapiących ludzkość. Okropności jego trudno sobie wyobrazić, jeśli się ich własnemi oczyma nie oglądało. Ropiące się ciało nieszczęśliwego odpada stopniowo kawałkami wraz z członkami, tak, iż nieraz pozostaje żywy kościotrup bez rąk i nóg, żyjący jedynie wnętrznościami. Widok jest okropny, a zaduch nieznośny przyprawia człowieka o utratę przytomności. Każdy ucieka przed takim widokiem. Lecz misjonarz katolicki zbliża się do nieszczęśliwego, schyla ucho przy spowiedzi do cuchnącego szkieletu i niesie mu ostatnią pociechę. To też nieszczęśliwi garną się do kościoła katolickiego, aby umrzeć na jego łonie.

Wśród tych nieszczęśliwych śmierć obfite zbiera żniwo: na 1000 chorych dziennie umiera ich średnio dziesięć. Biedacy pożądają śmierci i zawczasu przygotowują sobie groby, modląc się nad niemi.

Zaraza trądu jest nieuleczalna. Choroba rozwija się najsilniej około 20 roku życia i trwa najwyżej do roku 30, a tylko w wyjątkowych wypadkach chory dożyje lat 40 lub też przy silnym ustroju walczy ze śmiercią do roku pięćdziesiątego. Zaraza rozszerza się najbardziej przez związki małżeńskie.

Niedawno temu bawił w Poznaniu ks. Józef Wybraniec, Salezjanin, który kilka lat spędził jako misjonarz, wśród trędowatych. O ich życiu czcigodny ksiądz Wybraniec miewał wykłady przed licznie zgromadzoną publicznością poznańską. Mówił też o swym ośmioletnim pobycie w Kolumbji w Ameryce Północnej, ziemi trądem nawiedzonej. Kolumbja, kraj czterokrotnie prawie większy od Polski, liczy 6 miljonów mieszkańców, w tem 25 tysięcy trędowatych. Los ich do przybycia księży Salezjanów w 1889 roku był rozpaczliwy. Każdy ze wstrętem od nich się odwracał, a odpychani od świata gromadzili się grupkami w miejscach odludnych, w lasach dziewiczych, gdzie pozbawieni opieki i pociechy, kończyli w rozpaczy nieszczęsny swój żywot częściowo samobójstwem.

Bezprzykładna wprost miłość bliźniego księży Salezjanów złagodziła w pewnym stopniu niedolę najnieszczęśliwszych. Prawdziwego cudu w tem dziele miłosierdzia chrześcijańskiego dokonał Salezjanin ks. Michał Unia, który w 1891 roku, wiedziony głosem wewnętrznym — na skutek kilkakrotnego objawienia się Matki Boskiej, Wspomożycielki wiernych — objął misję salezjańską w Kolumbji.

Świątobliwy ten apostoł trędowatych zorganizował pierwszą tak zwaną rzeczpospolitę trędowatych — i po sześciu latach nadludzkiego poświęcenia — uległ tej strasznej zarazie, umierając uważany ogólnie jako święty u stóp bazyliki N. M. P. Wspomożycielki Wiernych w Turynie.

Krótko przed śmiercią otrzymał on od rządu włoskiego odznakę rycerza korony, rząd zaś kolumbijski wystawił mu pomnik w utworzonej przez niego republice trędowatych, Agura de Dios.

Następcą ks. Unji był ks. Ewazjusz Rabagliati, Włoch, a jego towarzyszami ks. Garbary, Tyrolczyk, z matki Polak oraz brat Zabłocki, również Polak.

Rozczulająca jest wdzięczność trędowatych dla misjonarzy polskich: chorzy pragną uczyć się po polsku, aby w języku swego ojca duchownego móc się modlić do Boga i znaleść ukojenie w strapieniu. Wyrażają również niekłamaną miłość dla Polski i gdy w swoim czasie Stolica Święta zarządziła ogólną modlitwę za kraj nasz uciśniony, trędowaci w przepełnionych świątyniach wznosili błagalne modły za naszą Ojczyznę. Wielu z tych nieszczęśliwych przyswoiło sobie szczególniejsze nabożeństwo do Matki Boskiej Częstochowskiej, nazywając ją Królową „de Monte Claro“ — (z Jasnej Góry).

W „mieście boleści“ często bardzo rozlegają się dźwięki „Jeszcze Polska nie zginęła“, grane chętnie przez orkiestry trędowatych.

Ateny stolica Grecji.



Grecja, kraj sławny w starożytności, obejmuje południową kończynę półwyspu Bałkańskiego. Kraj to górzysty, skalisty, rola wapienna, wodę przepuszczająca. Pomiędzy licznemi pasmami i grzbietami gór znajdują się zaciszne kotlinki, z których tylko dwie zachęcają do uprawy roli.

Kraj to więc biedny, ale niespokojny. W ostatnich latach często przypominał się światu zmianami rządów i najrozmaitszymi zamachami. Obecnie Grecja jest Rzecząpospolitą, przed wojną była królestwem.

Grecja starożytna dzieliła się na wiele krain i państw samodzielnych tak, że niemal każde większe miasto było osobnem państwem. Do największego znaczenia w starożytności doszły Ateny i Sparta. Państewka te nie żyły jednak ze sobą w zgodzie. Gdy się łączyły z sobą celem wspólnej obrony, pokonywały nawet silniejszego nieprzyjaciela od siebie, jak się to stało z Persami, ale gdy się waśnić i kłócić poczęły, uległy słabszemu od siebie, Filipowi Macedońskiemu i dostały się w jego niewolę.

Grecja, przeszedłszy różne koleje w czasie długich wieków, dostała się wreszcie pod panowanie Rzymian, zaś po upadku państwa rzymskiego należała do cesarstwa bizantyńskiego. Turcy, zawojowawszy cesarstwo bizantyńskie, zajęli również Grecję, która do roku 1828 podlegała władzy sułtanów. W tym roku Grecja osiągnęła niepodległość, a w dwa lata później ogłosiła się królestwem. Pierwszym królem greckim został książę bawarski Otton, lecz ten wskutek zamieszek utracił tron, a Zgromadzenie narodowe powołało w jego miejsce Wilhelma duńskiego, który objął rządy pod imieniem Jerzego I.

Grecja, jako królestwo przetrwała wielką wojnę, dopiero po wojnie ostatni król, jak wielu innych, musiał zrzec się swojej korony, a Grecja została republiką.

Na obrazku naszym widzimy Ateny, stolicę Grecji, nadzwyczaj malownicze i piękne miasto.

Czarodziejski środek.

Podanie opowiada, że pewna kobieta, która z mężem swoim żyła w ciągłej niezgodzie, udała się po radę do mądrego króla Salomona, o którym ogłoszono, że na każde cierpienie miał środek skuteczny.

„O światły królu“, przemówiła błagalnie, zalewając się łzami, „mąż mój zowie mnie Ksantypą. Skoro tylko otworzę usta, oburza się na moje rzekome niegodziwe ujadanie. A taki już jest rozgniewany na mnie, że mnie bije po twarzy i rzuca na ziemię. Małżeństwo nasze całkiem jest zniszczone. Również pieniędzy na nic nie chce mi dać“, dodała zawstydzona.

Salomon powstał podszedł do apteki domowej, wyjął z niej flaszkę, napełnił ją przeźroczystym płynem i podał owej kobiecie z powagą wielką, mówiąc:

„Ilekroć znów poróżnisz się ze swym mężem, weź z tego lekarstwa po jednej kropli. Nie wolno ci jej jednak połknąć, zanim gniew męża twego nie minie. Przeciwnie trzymaj kroplę starannie pod językiem, aż się mąż twój uspokoi, a będziesz znów szczęśliwą.

Zaledwie sześć tygodni minęło, przed królem Salomonem stanęła znów u jego tronu owa nieszczęśliwa żona, tym razem całkiem inna, kwitnąca zdrowiem i promieniejąca szczęściem.

„O wszechpotężny królu“, zawołała wesoło, „do jakich ty cudów jesteś zdolny. Mąż mój całkiem się zmienił, odkąd zażywam tych kropli. Kocha mnie znów, jak w pierwszych dniach naszego małżeństwa i wypełnia mi każde życzenie. Nigdy mi też już nie braknie pieniędzy. Powiedz mi wszechwładny królu, co to za czarodziejski środek, którego mi udzieliłeś i o który dziś jeszcze ponownie proszę“.

Salomon uśmiechnął się łagodnie, wyrozumiale i dobrotliwie i rzekł: „Napełnij sobie twoją flaszeczkę u studni na podwórzu. Lekarstwem tem jest: woda milczenia“.



Jak kogo Poniezus lubi, to mu da jedno dziecko, jak jesce bardzi lubi, obdarzy go dwoma i to samemi chłopakami, ale jak się kto Poniezusowi nie uda, to obsypie go dzieciskami i to będzie wtedy ino co dziesiąty chłopak, a zreśtą same dzieuchy. Latego tez wiadoma rzec, ze najbardziej Poniezus nie lubi prefesurów, bo im nasypał dziecek co nie miara i to samych cudzych dziecek. A przecie co swoje, to swoje, a co cudze, to cudze. Jak swoje co zbroji, to mu mozes jaśnie panią palicą wywalić i za to ci ani pies ogonem pod nosem nie myrdnie. A niechby tak prefesur zaglądnął chłopakowi w skole w nieprzyzwoite miejsce i ściągnął go delikatnie jakim powrózcyną, to rany Boskie. Polecą wtedy do skoły i mamusia i tatuś, ciotka i stryjenka, babka i łujek, Margośka i Jewka, i będą na bidnego skórotłuka wymyślały, jaz sie im zawiasy w gębach powykrzywiają. A taki Bartuś urwipołeć to ci wtedy pan, nicem organista. Jak on sie ma prefesura bać i jego sanować, kiedy lada uspodnicone stworzenie moze se niem jadacke wycierać.

Ja powiadam, ze chyba największem nieszczęściem la człowieka jest, jak sie urodzi prefesurem. Ma tego brzdącalstwa casem więcej anizeli kope, a każde na inse kopyto robione i z insemi muchami w nosie i jakze jem bidacysko ma wszyćkiem dogodzić. Zacnie se gadke o najcudaśniejsych rzecach. Pięćdziesiąt dziewięć będzie go słuchało z rozdziawioną gębą, ale znajdzie się jeden ocajdusa, który se przypomni wcorajse pirogi i zacnie o nich swojemu somsiadowi opowiadać. Sąsiad, jak taki sam, jak i jego kolezka, zamiast prefesura słuchać, pocnie z nim pogwarke, insi sie obzirają na tamtych i całe prefesurskie opowiadanie djabli wzięli. A jak kolega nie chce piroźnika słuchać ino go kopnie w pośladek, robi sie awantura, której bez kija ani najmądrzejsy prefesur poradzić nie moze.

Wiem ci ja, jakie to ananasy te skolniki. Tego roku, jak były wpisy, posedem do skoły, aby się nieco pogapić. Pedziołem: Pochwalony! — prefesur odpedzioł: Na wieki! i wszyćko było w porządku. A po tych pochwałach prefesur pyta sie mnie:

— Co i ty Maciuś do wpisu?

— Co znowu! — ja na to. — Przecie wiadomo wszyćkiem, ze u nas nie wszyćkie dzieuchy, ale nawet nie wszyscy gospodarze mają dziecka, a skądzeby ją?... Co prawda tom sie ta jesce nigdy Panujezusowi o pędraka nie naprzykrzał, ale i sam sie nie domyślił i niem mnie nie obdarzył. Ot chciałem sie ino na cudze popatrzyć, aby milej człekowi było.

Inom to pedział przysła Pindzina ze swojem siedmioletniem nygusem i prosiła o wpis.

— O to krnąbrne chłopcysko! — pada prefesur. — Okrutecny zabijaka!

— Ale dzie! — Pindzina na to. — To janiołek prawdziwy!

A janiołek w ten raz pokazał prefesurowi za plecami język.

Pedziołem to Pindziny, a ona na mnie ślipia wywaliła, zaś do prefesura rzece:

— Niech pon nie wierzom Maćkowi, bo on brese, jaz sie mu z tyłu kurzy. Dziesby mój Bartuś... dzie... Ta ja nawet dokumentnie nie wiem, cy on język ma!...

Bidne prefesurzysko ino sie uśmiechnęło, bo co miał rzec, tembardziej ze Pindzina trzymała gęś pod pazuchą. Zamiast wziąć za ucho jesce go pogłaskał i do książki zapisał. Pindzina wzięła chłopaka za rękę i razem z niem i przyniesioną gęsią posła do Mośka na jednego.

Potem przysła Walaskowa ze swojem Józusiem i pocęła prosić, zeby go prefesur do wyzsego oddziału zapisał.

— To okrutnie przyścipny chłopak — mówiła. — On nu wszyćko znajdzie akuratną odpowiedź. Skodaby go było, zeby z tamtemi cielątkami po próżniay siedział.

— A umis ty co mówić? — pyta go prefesur.

— Ino — odpowiada Józuś.

— A pacirz umis?

— Ino!

— To powiedzno mi „Ojcze nasz!"

— Ino!

— Ej to ty widzę nic nie umiesz — prefesur na to.

— Ino — powtarza Józuś.

— A wiesz ty, jak się nazywasz?

— Ino!

— No to powiedz, jak!

— Ino!

Prefesur pocął perswadować Walaskowej, ze z chłopakiem nawet w pirsem oddziele będzie duzo do roboty, ale Walaskowa nie dała się przekonać, ino gadała, co się Józuś zaląk. A jak wysła ze skoły, to tak przed kumoskami obnicowała prefesura, ze te się dziwiły, co go jesce nie powiesili. Powiadała, ze choć prefesur ma babę, to się do insych śmieje i z insemi chodzi, a ze swoją ani na Wielganoc i ze bez to juz od pięćdziesięciu lat dziecek własnych nie mają i jesce inse okropności.

A ja se pomyślałem: „Chwałaści Boże,ześ mi ani jednego pędraka nie dał, bo jakby taki był, jak inse, to lepiejby się było powiesić". Amen.



Postęp idzie.

Postęp idzie — czy go widzicie?
Wszak nowe niesie on dla Was życie!
Postęp idzie — słychać go zdala,
Jak echo młota z kuźni kowala.

Postęp idzie — kto go nie widzi,
Ten się nauką brzydził lub brzydzi.
Postęp idzie — kto go omija,
Ten wart nie sławy a godzien kija.

Postęp idzie — jak rzeczne fale,
Ciemnota gnuśność jego rywale.
Postęp idzie — z takim rozmachem,
Że jest dla wielu nawet postrachem.

Postęp idzie — silny i młody,
Łamiąc zapory, niszcząc przeszkody.
Postęp idzie — jakby się śmieje,
Snadnie nam lepsze wróżąc nadzieje.

Postęp idzie — świat z sobą wiedzie,
Kto z nim nie idzie, żył będzie w biedzie.
Postęp idzie — i pójdzie ninie,
Dopóki ludzki ród nie zaginie.

Ignacy Biegacz.

WŁADYSŁAW WOSNAK.

UCIECZKA ARCHANIOŁA

Powieść współczesna.

VIII.

Od tego czasu nastało w domu Tomka istne piekło. Każdy mógł się bezkarnie kłócić z kim chciał i kiedy mu do tego przyszła ochota. Tomek stał się dziwnie ociężałym: nie reagował już na krzyki domowników, a jeszcze mniej — na skargi żony. Ludzkie gadaniny zrobiły to, że popadł w straszliwą apatję. Czasami nawiedzały go przebłyski dalekich myśli, jakoby rzeczywiście zrobił źle. Takie zmory całą siłą woli odrzucał precz. To jednak brak wyjścia wprawiał go w niemiłe odrętwienie, z którem walczyć było niepodobieństwem dla braku sposobu,



Napadnięto na Zośkę ze wszystkich stron.

oraz możliwości powodzenia. Aż naraz poczuł brak sił, brak energji do zmagania się z przeciwnościami, których stosy zdawały się spiętrzać coraz wyżej, zasłaniając wszelkie jaśniejsze horyzonty. Zobaczył się naraz samym, samiuteńkim na świecie. Przestał nawet liczyć na dzieci, czując, że wyrządził im krzywdę. Chciałby jednak coś uratować, coś naprawić, coś skierować na lepsze tory, lecz nie wiedział od czego zacząć. Bowiem i w myślach stał się bardzo ociężałym, niezdolnym do wysiłków. Złożyły się na to nietylko ostatnie wypadki, ale — może najwięcej — wojna. Tomek zaczął się zastanawiać nad tem, co mu już raz ktoś powiedział: że jest starym. Wprawdzie lata nie były wygórowane, lecz wojna, ta straszna w skutki wojna zrobiła swoje. Chociaż udało mu się wymknąć z jej klszczy zdradzieckich, co jednak mściwej bogini nie przeszkodziło troszczyć się o swą ofiarę i mieć ją na oku. Nienasycony demon krwi nie przebacza nigdy tym, którzy byli pod jego władzą, a nie złożyli należnej daniny w formie własnego życia. Demon czatował dalej na swe ofiary, jak wówczas, na polach pękających bomb i szrapneli. Może przybrał łagodniejsze imię: wycieńczonego rekonwalescenta czy inwalidy, lecz w gruncie rzeczy był tym samym pożeraczem ludzi i łatwo go można było poznać po fatalnych objawach, oraz jednakich zazwyczaj skutkach.

Z tej przyczyny począł Tomek przemyśliwać nad tem, naturalnie w wielkiej skrytości — nawet przed samym sobą, czyby już nie wypadało oddać Zośce gruntu i na jej głowę złożyć wszystkie kłopoty gospodarskie, a samemu osiąść na części. Już zaczął się nawet uśmiechać do tej myśli, gdy nagle zjawiła się pewna zapora, tamująca ów zapał: była nią jego własna żona. I poco ją brał na starość, kiedy przecie dzieci dorastały, poco? Nie umiał sobie teraz odpowiedzieć. Chyba jakieś licho go opętało, bo coby innego. Że też i na starość człek może zgłupnąć...

W każdym razie jego zamiar zdania gospodarki stał się wkrótce tajemnicą w posiadaniu ogółu.

Do Zośki zaczęli się zgłaszać różni konkurenci, mniej lub więcej mile przez nią samą widziani. Zrazu była tem zaskoczoną, onieśmieloną, zafrasowaną, jakby nie zdającą sobie sprawy, o co właściwie wszystkim chodzi i co oni naraz chcą od niej. Lecz niedługo to trwało: wkrótce Zośka zaczęła inaczej patrzeć na życie, inaczej kojarzyć myśli; objęła ją przedziwna pewność, że zaczyna się coś nowego, a zarazem coś wielkiego. Zdawała się widzieć, chociaż jeszcze w zamgleniu, jakieś szerokie nowe wrota, do których miała się zbliżyć, aby rozpocząć nowy okres życia. I naraz przestała się czuć dzieckiem, nabrała pewnej powagi i zadumy. Była z tem piękna i powabna. Czoło jej wydłużało się teraz zbyt często, lub kurczyło, zaś oczy rzucały spojrzenia na bardzo odległy dystans, jakby oczekując czegoś, co ma przyjść, co przyjść musi.

Czekała.

Brał ją też czasem mimowolny lęk, ten dziwny lęk, przed którym drży serce w tęsknocie niemego oczekiwania.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Aż wreszcie stało się, co się miało stać: Na weselu, jeszcze szkolnej koleżanki i powierniczki od najmłodszych lat, poznała się Zośka z nim, Antkiem z sąsiedniej wsi. W czasie tańca spojrzała mu w oczy: on się uśmiechnął jakoś dziwnie, ona spuściła powieki. Głębinowy szept wydzwonił rytmem jej własnej krwi tajemnicze słowa... nie słowa-myśli, czucia, pragnienia, czy coś jeszcze innego; coś, co tylko sama zrozumieć mogła.

— To on! to on!

Odtąd tańczyła tylko z nim. Gdzieś runął poprzedni świat; w jej oczach powstał nowy, pełen wiosny i wesela. Ten świat nowy widziała w jego źrenicach. Jakżeby pragnęła patrzeć w nie bez końca!

Wkrótce było już wszędzie jawnem, że Antek zamierza się starać o Zośkę. Tomek się nie sprzeciwiał; ukradkiem tylko jął się wypytywać tamtejszych ludzi, co to za chłopak. Sądy niemal wszystkie były dodatnie. Ludzi, w których głosie dostrzegł bodaj cień złośliwości, nie słuchał wcale. Zawiść jest złą szafarką sprawiedliwości; nawet perły radaby uwalać błotem, sądząc, że przez to przestaną być perłami. Tomek miał w tym względzie wiele doświadczenia.

Jedyną osobą, która się sprzeciwiała, była matka. Rozumiała doskonale, że grunt pod jej nogami zaczyna się usuwać, więc pragnęła temu za wszelką cenę zapobiec. Jakaż to dla niej satysfakcja żyć z części, kiedy jej się gospodarka uśmiechała. Część? przecież miała i ma u córki, a tu chce gospodarzyć, chce być szanowaną we wsi, jako gospodyni. Co ją tam obchodzi, choć ludzie ją obgadują, że dziadka i Franka wygnała, że co może — wynosi do córki, że chłopa i dzieci krzywdzi... To ją nie rozczula. Owszem, ma pewne zadowolenie, że ludzie mają ją na językach, że się nią interesują, jak rzadko kim w parafji.

Postanowiła zatem nie pozwolić sobie wydrzeć władzy, lecz imać się wszelkich sposobów, wchodzących w zakres jej zdolności.

— Żebyś ty wiedziała — mówiła razu pewnego do Zośki swym anielskim głosikiem — żebyś ty wiedziała, co ludzie mówią o Antku, to aż strach słuchać. Mnie ta do tego nic, ale ty sobie rozważ... Mówię przez dobroć, bom ci przecież jakaś matka, że będziesz żałowała. On jeszcze młody, a takiemu różnie w głowę strzeli. Mnie to właściwie nic nie obchodzi; u córki mam miejsce, nie będę wam zawadzała — ale ty sobie uważ dobrze, bo cofać się jest czasem zapóźno. Nie miej mi za złe, że to ci mówię, bo jak sama widzisz, nic w tem nie mam. Mnie zresztą i tak niewiele trzeba — stara jestem; ale szkodaby było, gdybyś sobie miała świat zawiązać. Człowiek raz się rodzi, raz jest młodym, raz żyje i raz...

Chciała dokończyć i raz się żeni, ale w porę sobie przypomniała, iż sama już jest za drugim mężem, więc ugryzła się tylko w język i umilkła. Być może, że w tem zakończeniu miałaby zupełną rację. Jedna jest bowiem miłość, raz wybuchająca nieujarzmionym płomieniem, jak jedno jest w człeku serce.

Zośka drwiła sobie z tego w duchu: znała już matkę doskonale. Gdyby jej to powiedziała nieboszczka, wtedy... możeby się zawahała, możeby ze łzami upadła do kolan i z głośnym łkaniem zawołała: Mamo, nie mówcie tak, nie mówcie! to nieprawda! Ja czuję, że będę z nim szczęśliwa. — Teraz nie mówiła nic; wzruszyła ramionami, myśląc o czem innem. Przykro jej było jednak, iż jest ktoś, co czyha na jej szczęście.

Tomek wkońcu zaczął wierzyć przeróżnym bredniom żony, wyssanym z palca. Czasem jeszcze coś mruczał na to, lecz częściej kiwał dwuznacznie głową. Niby nie dawał poznać po sobie, czy go te plotki co obchodzą, ale milczeniem dawał żonie prawo do wyszukiwania i popisywania się przeróżnemi zbrodniami Antka. Najczęściej powtarzały się: pali, lubi wypić na jarmarku, do hulatyki też skory, trochę wagabunda nocny, słowem — chłopak nie na męża dla Zośki.

— Każdy młody taki: musi się wyszumieć — oponował Tomek. — Przy babie się zmieni. Zresztą, jak masz gdzie lepszego, to powiedz!

— O! lepszych jest dosyć! Już dawno mi moja Pelasia mówiła, jak się tam spytują o Zośkę... Spytują się i to nie bylejacy ludzie; wszystkich znam dobrze. Cóż takiemu kowalowi z „nad potoka" brakuje? chłop jak dąb. Trza też wiedzieć: chałpę ma, pole swoje ma, gospodarka jak cacko.

— I on się pytał o Zośkę?... widzi mi się, że go nawet znam.

— Ile razy już Pelasię prosił, aby przyszła do ciebie... o, jej! Prawie co niedzieli.

— Stary?

— Jaki tam stary... prawie do żeniaczki; nie żaden świstak.

Tomkowi spodobała się ta myśl: poszłaby Zośka do pola, a swoje dałby młodszym. Czy to nie szczęście? Dziś nie wyda się dziewka, jeżeli nie ma gospodarki, a tu jakby z nieba spadło. I Tomek widzi, że jednak żona jego ma rację. Co znaczą te wszystkie bzdurzenia, kiedy coś lepszego się uśmiecha. Żeby tylko się udało!

Nazajutrz, jakby na zawołanie, przyszła Pela i dalejże jęła się roboty, z kunsztem — tylko kobietom właściwym. Napadnięto na Zośkę ze wszystkich stron, tak, że z trudem zdawała sobie sprawę, którędy jej brnąć należy. Słuchała wszystkich mów, czasem bardzo wzniosłych i serdecznych, lecz ona myślą była wciąż daleko. Uważała wszystko za żart, lecz taki, przy którym bez stanowczości się nie obejdzie. Czekała na to w milczeniu. Wreszcie, po wszystkich wstępach i opisach zapytał się Tomek:

— No, i cóż: ma przyjść?

— Kto?

— Ten o kim mowa: Kowal z „nad potoka".

— Może, ale nie do mnie.

— Zośka...

— Starych trupów nie potrzebuję. Jestem młoda, więc garnę się do życia.

Z ulgą rzuciła pianę z nurtującej fali oburzenia. Bowiem nie ulegało wątpliwości, że matka użyła swych zabiegów, aby Zośkę z domu usunąć i niedopuścić do oddania jej gruntu. Obłudnej sprawie dzielnie sekundowała Pela.

— Jaki ta stary... Zaczniesz przebierać, tak wnet ci się nic nie dostanie. Dziś nie ten czas, kiedy dziewczyna mogła grymasić.

— Nie, to nie. Wolę nic. Wypędźcie mię z domu, jak... ale tam nie pójdę!

W domu nastało nowe piekło.

— Rozważ se dobrze — rzucił jeszcze krótko Tomek — abyś kiedyś nie narzekała.

Najwięcej zrzędziła matka. Zośkę rozpychała złość na widok takiej podłoty. Wreszcie wybuchła:

— Jużbyście mi raz dali spokój z tym waszym kawalerem! Każdy widzi, czego wam się zachciewa: chcecie mię wygnać jak tamtych. W tym tylko celu wyszukaliście na gwałt jakiegoś starego grata i myślicie, że ja taka głupia. Lecz na nic wasze zabiegi: dziadek poszedł, bo był stary, Franek wam uległ też z tego samego powodu, ale ja jestem młoda, a celem młodości jest iść przez upór i dopiąć swego.

— No, no... dopinaj.

— Dopnę, choćby niewiedzieć co!

Macocha aż się wściekała ze złości; nie mogła ani jeść, ani spać, wciąż tylko chodziła, jak błędna, utykając na Zośkę przy każdej okazji:

— Już ci się nic robić nie chce; myślisz, żeś jest gospodynią na swojem.

— Nic nie myślę, tylko robię, co mi wypada. A zresztą poco mam myśleć, kiedy wy za mnie to robicie... nawet ponad miarę. Dla mnie, co jest obiecane, i tak nie przepadnie. Co ma być — będzie.

— Mówiła tak niby ze spokojem, ale w gruncie rzeczy niepokój ją gryzł z dnia na dzień coraz większy. Doszło wreszcie do tego, że nie śmiała wspomnieć o Antku, którego postać, jak na złość, wciąż stawała przed jej oczami. Na szczęście wkrótce wyjaśniła się sprawa z kowalem. W latach minął czterdziestkę, siedział na gruncie brata, mieszkającego w Ameryce, który tylko przyobiecał pozostałemu bratu, iż mu zapisze grunt, może dopiero na jego dzieci, a może sam do pola wróci. Pewnego zatem nic nie było. Sąsiedzi wątpili mocno, gdyż znali stosunki, jakie między braćmi panowały. W każdym razie: siedzieć na niepewnej grzędzie nie należy do przyjemności, co uznał sam Tomek, przestając się równocześnie zajmować sprawą Kowala, jako konkurenta do Zośki.

— Niedość, że stary, to jeszcze nic pewnego... Kto tam będzie czekał na cudze obiecanki? W tym czasie może umrzeć, a co wtedy z babą? pójdzie po

żebraninie? Trzeba się już trzymać pierwszego i nie patrzeć na cudze łaski.

Do krystalizującej się rzeczywistości otwierała Zośka ramiona, jakby ją chciała już uściskać, lecz tej jeszcze nie było. Ale ona szła i przybierała na siebie roześmianą postać.

(Dokończenie nastąpi).



Rocznica ślubu.

(Humoreska.)

Wprawdzie dziesiąta rocznica ślubu wypadała w środę, ale postanowiono przenieść uroczystość na niedzielę. Rozesłano zaproszenia jednak wcześniej, przed rzeczywistym terminem rocznicy, z wyrachowaniem, że przyjaciele zechcą może w sam dzień uroczysty uczcić młodą parę upominkami.

To właśnie stało się przyczyną nieszczęścia.

W środę o ósmej rano odezwał się dzwonek. Przyszedł posłaniec z dużem pudłem.

Izia i Hipcio wybiegli do przedpokoju.

— To zawiadowca — rzekła Izia, spojrzawszy na czerwoną czapkę.

— Zawiadowca? — oburzył się Hipcio — a dlaczego pan dusisz pasażerów w wagonach?

Zawiadowca na to ciężkie oskarżenie odpowiedział:

— To z Pięknej!

W pudełku był tort i bilecik z życzeniami od państwa Cielątkowskich.

Posłaniec upomniał się „na piwo". Dostał dwudziestówkę.

— Teraz winszuję państwu od siebie... Żeby Bóg najwyższy.

Dostał drugą dwudziestówkę i poszedł.

W pół godziny potem przyszła przez kuchnię pokojówka od państwa Jałówkiewiczów i przyniosła pudełko i bilecik.

W pudełku był tort czekoladowy. Zaledwie Izia zdążyła wsadzić palec w spód tortu, przyszedł wuj Oborski.

Złożył życzenia i przyniósł tort, bardzo ładny i duży, z napisem: „Niechaj wam życie słodkim lukrem płynie". Wuj mówił, że napis sam ułożył i sam zrobił. Ojciec poznał jego charakter na torcie.

Potem wyszła pani Krowińska, taka gruba, że pewnego razu Izia zapytała ją „przy wszystkich".

— Czy pani będą robić operację brzucha?

Operacja była dokonana, lecz na Izi i z odwrotnej strony. Pani Krowińska przyszła akurat na obiad. Była bardzo bogata i pan i pani bardzo ją kochali. Przyszła bez tortu.

Potem znów przyszedł posłaniec i przyniósł tort orzechowy. Dostał dwudziestówkę. Niedługo za nim drugi posłaniec przyniósł tort marcepanowy. Potem zadzwonił ktoś jednocześnie do przedpokoju i do kuchni. Izia i Hipcio nie wiedzieli, dokąd popędzić. Przyszły dwa torty jednakowe, obadwa waniljowe. Potem stróż przyniósł tort owocowy, niewiadomo od kogo. Znów posłaniec a za nim służąca... Przysłali życzenia i torty Owsińscy, Wolińscy, Sieczkowscy i Otrębowicz.

Późno wieczorem skończyła się wędrówka. O godzinie jedenastej jeszcze ktoś zadzwonił ale wszyscy udali, że śpią i nikt się nie odezwał. Dopiero po paru minutach uchylono ostrożnie drzwi. Na schodach leżało duże zawiniątko.

— Mamo! — zawołał Hipcio — bocian ci dzieciaka małego przyniósł. Trzeba powiedzieć ojcu, to się dopiero ucieszy!

— Głupiś zaprzeczyła Izia — to nie dziecko, tylko tort czekoladowy...

Wzięto się do liczenia tortów. Siedm czekoladowych, trzy orzechowe, jeden marcepanowy, sześć waniljowych, pięć owocowych, jeden piaskowy i jeden niewadomo jaki. Razem dwadzieścia cztery sztuki.

Pani upadła zemdlona na fotel. Pan patrzał z przerażeniem na stół i szeptał:

— Co z tem zrobić?

Po długim namyśle Izia pierwsza zabrała głos.

— Rozdzielić najlepiej. Mnie i Hipkowi po piętnaście, ojcu i mamie po jednym, będzie równo...

Izia dostała klapsa, jak niegdyś za proponowaną pani Krowińskiej operację i zaczęła ryczeć.

Nazajutrz wszyscy wstali rano. Bułek do śniadania nie kupowano. Wszyscy żywili się tortami. Izia i Hipcio rzucili się na torty, jak koń tramwajowy na owies. Służąca siedziała w kuchni na kuferku i mlaskała wargami.

— Dopiero państwo, niema co gadać... Tanie życie... Dobre państwo!

Stróż przyszedł po klucz od góry. Dostał pół tortu piaskowego.

Pan i pani zebrali się na naradę.

— Co zrobić z tortami?

— Sprzedać do cukierni.

— Dadzą po dwa złote... Nie wypada... Znają nas...

— Urządzić dziś przyjęcie!

— No to co? Zjedzą trzy torty, choćby pięć... A reszta?

— Sprzedaj w sklepiku...

— Nie chcą.

Obiadu nie gotowano. Wszyscy jedli tort. Zamiast zupy — owocowy, zamiast pieczeni — orzechowy i ogórków, na deser czekoladowy.

Na kolację tort, przekąsany chlebem i sardynkami.

Nazajutrz stwierdzono, że sześć tortów ubyło. Pan już przypuszczał możliwość zwycięstwa i cieszył się, że na niedzielę będą już kotlety. Ale przyszli Szopkiewicze i Woliński z tortami, Mleczyńscy i Serowscy przysłali po torcie. W pół godziny ubytek się wyrównał.

Pani dostała ataku histerycznego.

Trzeciego dnia dom podobny był do szpitala cholerycznego, lub do okrętu miotanego burzą.

Pani jęczała na łóżku w pokoju sypialnym i na cały dom krzyczała, że zrobiła wybór nieszczęśliwy, że powinna była wyjść za kuzynka Oborskiego. Pan posyłał wszystkich do wszystkich djabłów... Hipcio ryczał, Izia ryczała.

Kucharka, oparta o zimną blachę — przez te dni wcale ognia nie rozpalano — jęczała:

— Choroba z takiem państwem. Strują człowieka...

Dzwonki elektryczne popsuły się, jakby i one objadły się tortów. Zapewne dzwonili jeszcze nowi goście i nowi posłańcy, ale nikt im nie otwierał.

W sobotę zdechł kanarek. Zjadł pół tortu czekoladowego i pół orzechowego. Siemię i rzepak zjadła służąca w nocy. W domu zjedzone było wszystko do ostatniego okrucha, prócz tortów.

Izia od dwunastu godzin krzyczała w niebogłosy.

— Chcę bułki, chcę chleba!

Hipcio leżał w gorączce. Ojciec, który sam się ledwie na nogach trzymał, włożył mu pod pachę barometr. Po upływie pięciu minut wyjął go i przeczytał:

— Wiatr, deszcz ulewny...

— Źle — pomyślał ojciec — chłopak umrze. Taka temperatura nie zdarza się jeszcze w praktyce lekarskiej.

Z pokoju sypialnego rozległy się krzyki pani:

— Potwór!... Niech wam życie lukrem płynie! Powinnam była wyjść za mąż za panią Hrowińską... Bogata jest i tortu nie przyniosła!

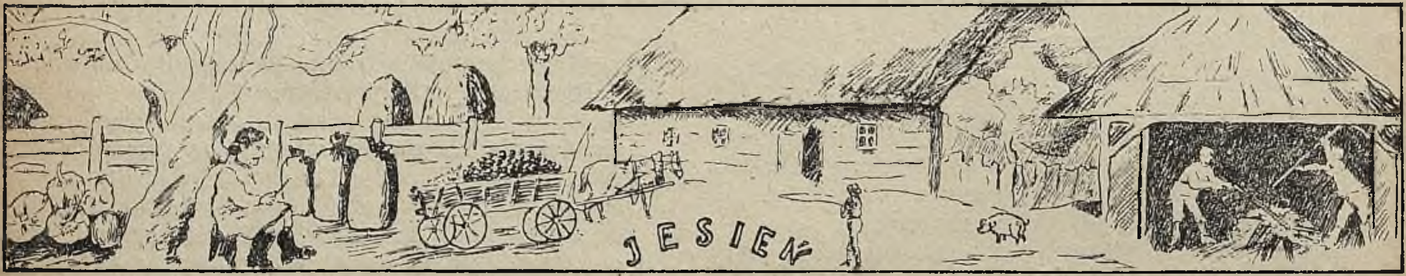
— Źle — myślał znów pan. — Takiego bredzenia jeszcze nie słyszałem... Umrze biedactwo... Zresztą wszyscy pomrzemy...

Wieczorem zdechł mopsik Amorek, unosząc z sobą w psie zaświaty trzy torty... Kwiaty w doniczkach powiędły, lampy pogasły.

W niedzielę rano przyszedł dziad... Gdy spojrzał na pana, wziął go za widmo i chciał uciekać. Lecz pan na klęczkach prosił go, aby wyratował nieszczęśliwą rodzinę. Dziad się zlitował. Za piętnaście rubli podjął się zjeść pozostałe torty: cztery czekoladowe, trzy waniljowe i jeden orzechowy.

Skończył robotę po południu. Dostał jeszcze rubla na piwo i słaniając się, poszedł prosto do doktora.

Po dwóch tygodniach niebezpieczeństwo minęło, wszyscy powrócili do zdrowia. Tylko Hipcio na widok tortu dostaje konwulsji, ale doktór twierdzi, że to przejdzie...



Poradnik gospodarczy.

Owoce przez zimę przechowuje się w piwnicy, pokoju do tego przystosowanym specjalnie zbudowanej owocarni, w kopcach i beczkach. Przedewszystkiem miejsce do przechowania owoców musi być ani suche ani za wilgotne, dające się przewietrzać, ani za zimne ani za ciepłe. Temperatura powinna być jednostajna 5—8°.

Powinno być ciemne i zwrócone o ile to możliwe w stronę północną. Służyć ma wyłącznie do przechowania tylko owoców a na nic innego, zwłaszcza nie można tam przechowywać takich rzeczy, które łatwo ulegają gniciu lub wydają nieprzyjemną woń, gdyż owoce każdą obcą woń łatwo przyjmują. Przed złożeniem owoców należy miejsce do przechowania należycie przygotować, przedewszystkiem wywietrzyć i nie dopuścić, aby było czuć stęchliznę. Tę usuwamy zapomocą dobrego przewietrzania i wysiarkowania. Do siarkowania używamy czystej siarki, którą w naczyńku zapalamy i zostawiamy przez parę godzin, później należy dobrze wywietrzyć. Za dużo wilgoci usuwa się przez wstawienie naczynia z wapnem palonem, wapno chciwie wsiąka wilgoć, jeżeli za sucho, należy stosownie skropić. W czasie wielkich mrozów wstawia się mały piecyk naftowy i lekko się przepala. Ważną bardzo jest rzeczą, aby do przechowania przeznaczać tylko zdrowe i nieuszkodzone owoce, gdyż te się nie psują. Nawet owoców przeznaczonych na własny użytek nie należy razem z doborowym owocem przechowywać.

Owoce przechowuje się na półkach wyłożonych papierem. Ważną jest rzeczą, aby półek nigdy nie wykładać sianem, słomą lub drewnikiem, gdyż te pochłaniają wilgoć z owoców, gniją i zarażają gniciem owoce. Półki urządzone piętrowo jedna nad drugą nie tamują swobodnego dostępu powietrza, co dobrze wpływa na przechowanie owoców. Owoce rozkładamy pojedyńczo na półkach po jednej warstwie, a mając dużo miejsca, w każdym czasie możemy skontrolować, czy się owoce nie psują. Psujące się owoce usuwamy natychmiast.

Owoce należy układać zupełnie suche, nigdy wilgotne. Aby woda z owoców wyparowała, stawia się owoce świeżo zerwane w miejscu przewiewnym na kilka dni, a dopiero wnosi się i układa na półkach, ogonkiem i do góry, szeregując na półgach odmianami.

Niektórzy ogrodnicy obwijają owoce w cienką bibułkę, która ma chronić owoc przed zimnem i światłem. Owoce wydają dużo wilgoci ze siebie, którą usuwamy przez wietrzenie w dni pogodne w porze południowej, a więc najcieplejszej. Wietrzenie odbywa się tak, aby jak najwięcej światła dochodziło do owoców.

Piwnice przeznaczone do przechowania owoców muszą być zupełnie oddzielne, nie mogą być w nich przechowywane żadne jarzyny, gdyż te łatwo gniją. W pokoju dobrze się przechowują owoce o ile ich zawiniemy i przestrzegamy podanych prawideł. W kopcach zesypują owoce i układają je, okładając szpilkami jałowca w ochronie przed myszami i przysypują ziemią zupełnie jak ziemniaki, ale rzadko dobrze się przechowują, gdyż przez przysypanie ziemią i niedopuszczenie powietrza tracą na smaku, na barwie i prędko się psują; należy je zaraz po otwarciu kopca zużytkować, gdyż dłużej przechowywać się nie dają.

Niektóre odmiany jabłek, zwłaszcza przechowuje się dobrze przez zimę w beczkach. Beczkę należy czysto wymyć i dobrze wysuszyć, następnie wykłada się dno i ściany papierem, na dno nasypuje się czystego i suchego piasku i na nim układa się owoce warstwami, każdą warstwę przesypujemy piaskiem. Ostatnią wierzchnią warstwę owoców przykrywamy również piaskiem, na to papier i przybijamy pokrywę. Owoce przechowane w piasku przez dłuższy czas dają się dobrze przechować i nie tracą na smaku ani zapachu, są jak świeżo zerwane z drzewa. Ważną jest rzeczą, aby piasek użyty do przesypania był czysty, miałki i dobrze suchy, wyprażony na słońcu. Zamiast piasku można używać miałkiego torfu lub skrawków

papierowych. Owoce przechowywane w beczkach muszą stać w miejscu ciemnem, nie na suchem i nie wilgotnem w odpowiedniej temperaturze, nigdy nie mogą stać wprost na ziemi, ale zawsze należy podłożyć pod beczkę deski, kamienie, cegłę itp.

Ważną jest rzeczą, aby w beczce była jedna odmiana owoców. Gdy warstw nie przesypujemy, to po otwarciu beczki wszystkie owoce muszą być w krótkim czasie zużyte, gdyż prędko się psują. Przy przesypywaniu piaskiem musi być zużyta cała warstwa odkryta. *Jan Matysik.*

Łakomy dwa razy traci.

(Prawdziwe a pocieszne zdarzenie.)

Nad Wisłą mieszkał sobie kolonista niemiecki, którego nazwiska nie wymienię, bo to niedawno się zdarzyło, więc będę go nazywał Frycem. Fryc miał domeczek na wzgórzu tak, że chociaż Wisła wylewała, żadnej mu szkody nie zrobiła, bo tak wysoko nigdy nie dochodziła, a że miał też kawałeczek roli i szkapinę i krówkę i kozę i psa i kota, więc miał się nienajgorzej; to też żona jego Jetka dobrze sobie wyglądała, a dwoje chłopaków Hans i Franc byli zdrowymi i jędrnymi, jakby ich z brukwi ustrugał. I był sobie Fryc szczęśliwy z swą rodziną — nie brakło mu kartofli, ani tytoniu do fajki, a Hans i Franc, którzy mieli niezadługo rozpocząć swój zawód naukowy, to jest uczyć się abecadła, bawili się ochoczo, używając swobody życia wiejskiego, młodości, bizunów regularnie odbieranych i tym podobnych dóbr doczesnych.

Było to na wiosnę. Wisła rozlała się szeroko po polu i coraz bardziej i coraz szybciej przybierała. Fryc już od dawna nie pamiętał takiej wody, więc wyszedł przed chałupę i zaczął się wodzie przypatrywać. Niech się nikt temu nie dziwi, że Fryc przypatrywał się wodzie, bo niema może ciekawszej rzeczy, jak bieżąca woda. Otóż i naszego Fryca bystry rozum od razu całej tej wody pojąć nie mógł, więc gapił się i gapił, aż się i naprawdę zagapił; skurczył się w gzyzak, jakby był w troje złamanym, ręce w tył wyprężył, oczy wytrzeszczył, gębę rozdziawił, aż fajka na ziemię upadła i tak stał jak wryty. Wyszła Jetka z domu i ujrzawszy męża tak zatopionego w myślach, dała mu, aby go rozbudzić, szturchańca i zapytała, w co się tak wpatruje? Przebudzony Fryc nic nie mówi, tylko wyciąga rękę naprzód i mówi: Patrz!

Patrzy się Jetka — wytrzeszcza oczy, aż nareszcie i ona z podziwu zakrzyknęła. Bo cóż zobaczyła? Na małem wzgórzu, zalanem wodą, stoi pochyła wierzba, a na tej wierzbie, w samej koronie, gdzie z grubego pnia rzadkie rozchodzą się gałęzie, skulony siedzi — zając!

— Jak to być może? — zawołała Jetka.

— A no, tak! — wytłómaczył Fryc. — Zajączek uciekał przed wodą na wzgórze, a gdy stamtąd w dalszą chciał się puścić podróż, spostrzegł, że zewsząd jest woda, więc musiał zostać na miejscu, a gdy mu się woda zaczęła lać za kołnierz, wlazł po spróchniałym grzbiecie pochyłej wierzby aż do samej korony.

I tak też było.

— Więc teraz — ciągnął dalej Fryc — bez ceremonji zajączka schwycę, zabiję i będziemy mieli pieczeń.

— Zabić, upiec i zjeść, to mniejsza — odrzekła Jetka — ale wprzód trzeba go schwycić! Dojść do wierzby nie możesz, bo za głęboko, a łódki nie mamy.

Nic na to nie odpowiedział Fryc tylko poszedł do chaty i za pomocą Hansa i Franca wyniósł ogromną dzieżę, w której ojciec Jetki, piekarz, ciasto na chleb dla połowy miasta zarabiał, i spuścił ją do wody, następnie wziął do ręki łopatę zamiast wiosła i odbił od brzegu.

Teraz kolej gapienia się przyszła na Jetkę. Podziwiała ona w duszy bystry rozum męża i odwagę jego rycerską, a Hans i Franc z całą siłą miłości braterskiej chwycili się za łby, by się serdecznie poczubić i przez to lepszego nabrać apetytu na tę wonną pieczeń, o której dotychczas tylko głucha wieść ich dochodziła.

Tymczasem Fryc zbliżał się do wierzby, łódkę czyli raczej dzieżę nakierował tak, że prąd wody do wierzby ją przypierał, a ona odpłynąć nie mogła, następnie złożywszy łopatę zaczął się gramolić na wierzbę.

Zajączkowi biednemu na płacz się zbierało. Jest to wrodzone wszelkiemu stworzeniu uczucie, że w niebezpieczeństwie zapomina o nieprzyjaźni i najdziksze zwierzęta zapominają wtenczas o swojej srogości, a i człowiek nad nieszczęśliwem zwierzęciem litować się powinien, a nie pastwić. Zajączek widział zbliżającego się Fryca, wyczytał w jego oczach, że na miłosierdzie jego nie ma co liczyć, przeczuwał także, że i prawo zakazujące o tym czasie polować na szaraki, nie obroni go przed łakomym; więc w niemej rozpaczy oglądał się wokoło, czy nie znajdzie gdzie ratunku, spojrzał w dół — w tej chwili poczuł palce Fryca, macające mu futerko i — hyc! — jednym susem skoczył w stojącą pod drzewem dzieżę, a skoczył nie w sam środek, lecz w jeden brzeg, przez co dzieża popchnięta okręciła się około drzewa i wesoło z prądem popłynęła naprzód, unosząc z sobą długouchego żeglarza, który jeszcze raz obrócił się na siedzącego na wierzbie Fryca, jak gdyby chciał powiedzieć: — Polecam się łaskawej pamięci! — a potem najspokojniej popłynął dalej.

W pierwszej chwili Fryc o mało że z przestrachu z drzewa nie zleciał, potem chciał coś myśleć, ale zgłupiał tak, że właściwie wcale nie wiedział, co się dzieje — patrzał więc w odpływającą dzieżę jak w tuza, widział jak zatrzymała się w oddali przy przeciwnym brzegu, jak tam zajączek wyskoczył z niej i poleciał, aż się zanim kurzyło, — widział, jak silniejszy prąd znowu dzieżę porwał ze sobą — wreszcie poczuł, siedząc na wierzbie, jak na koniu, że woda już mu nogi opłukiwać zaczyna. — Oj źle, mospanie, źle! — pomyślał sobie Fryc i to też było jedyne, co myśleć był zdolny.

W nie mniejszej rozpaczy stała Jetka nad brzegiem. Nie wiedziała ona sposobu wyratowania męża, a tu woda coraz bardziej przybiera i coraz wyżej mu sięga — wreszcie szczęśliwa zabłysła jej myśl: przecie koń w stajni wyratować Fryca może? Wyprowadziła więc konia, a że bała się wsiąść na niego, zaprzęgła go do krowy, wlazła na krowę i pędząc konia przed sobą, dopłynęła szczęśliwie do wierzby — i to było szczęściem Fryca. Zaraz też się zgramolił z wierzby i chociaż nie udało mu się wsiąść na konia, uchwycił go za ogon i tak przypłynął do brzegu. Fryc przemoczył całą odzież, stracił dzieżę i łopatę, a za to wszystko grzmot usłyszał od żony, że lekkomyślny jak dzieciak, a Hans i Franc, którzy na pieczonkę najbardziej się cieszyli, popełnili tę niedorzeczność, że najgorzej usposobionego ojca zapytali, jak też to pieczony zając smakuje, i zamiast pieczeni dostali mydło.

Takie to skutki łakomstwa!

KRONIKA.

Od Administracji. Do dzisiejszego numeru dołączamy czeki wszystkim kwartalnym Prenumeratorom. Z nadesłaniem prenumeraty prosimy nie zwlekać, aby uniknąć przerwy w dalszej przesyłce „Roli". Z prenumeratą można nadsyłać także należytość na Kalendarz Wielki Powszechny, którego cena, jak w roku ubiegłym, wynosi 2 zł. 75 gr.

(J. W. S.). **Zbójecki napad.** W niedzielę 4 b. m. w parafji Piotrkowice, powiatu jędrzejowskiego, zapanowała niebywała panika z powodu ohydnedo mordu, dokonanego na osobie tamtejszego organisty ś. p. Kociszewskiego. Mordu dokonano w chwili, gdy tenże stanął w obronie swego mienia, nie mogąc patrzeć, by zuchwali napastnicy uprowadzili jego mienie. Dwie kule zbójeckie pozbawiły go życia. Osierocił żonę i dwoje dzieci, licząc zaledwie 27 lat. Zaznaczyć należy, iż podczas wojny był pięć razy ranny, jednak powrócił do domu szczęśliwie. Tejże samej nocy pragnęli owi osobnicy wtargnąć do mieszkania dwóch wieśniaków z sąsiedniej wioski, jednak po wzajemnej wymianie strzałów zniknęli w ciemnościach nocy. Zawiadomiony o powyższem posterunek policji w Wodzisławiu prowadzi energiczne śledztwo. Aresztowano szereg podejrzanych osób.

Pożar cerkwi. W Obertynie, pow. Horodenka, wybuchł nagle pożar w tamtejszej grecko-katolickiej cerkwi. W płomieniach stanęła odrazu cała świątynia, a pastwą żywiołu padać zaczęło również i urządzenie wewnętrzne, powodując tem olbrzymie straty. Natychmiast zaalarmowano całą osadę, która zorganizowała wzorową akcją ratunkową i przystąpiła do ratowania cerkwi i innych zagrożonych sadyb. Po długich zmaganiach z żywiołem zdołano w jakiś czas pożar ugasić, choć straty poniesione są i tak bardzo wielkie. Jak wykazały dochodzenia policyjne, pożar powstał skutkiem nieostrożnego obchodzenia się z ogniem wewnątrz budynku.

Ujęcie groźnego bandyty. Przed pół rokiem z więzienia w Drohobyczu zbiegł niebezpieczny bandyta Ilko Kmyta, liczący 23 lata, który miał tam odbyć karę 10-letniego więzienia, z czego już przesiedział dwa lata. Kmyta po ucieczce z zakładu karnego po niejakim czasie dostał się do wsi Borowce obok Mostów Wielkich w żółkiewskim powiecie i tam ukrywał się u swej kochanki. Z jej to chaty Kmyta często wymykał się w nocy i czynił na drodze napady rabunkowe, posługując się rewolwerem i karabinem. Gdy niedawno temu policja stwierdziła, że sprawcą tych napadów jest właśnie poszukiwany Kmyta, ktory chronić się ma w Borowem, onegdaj w nocy uczyniono na niego obławę. Celem ujęcia zbiega wyruszył patrol pod komendą st. przodownika Krzyżanowskiego, komendynta posterunku w Mostach Wielkich. Około godziny ósmej wieczór patrol ten zjawił się w Borowem. Gdy stwierdzono, że poszukiwany Kmyta w tej chwili przebywa w chacie Iwana Seniuty, u którego stale ukrywa się wraz z kochanką, posterunkowi otoczyli dom. Kmyta spostrzegłszy, że jest otoczony przez policję, schronił się na strych i stamtąd począł strzelać do policjantów. Skutkiem tego posterunkowi dom Seniuty ostrzeliwali, w czasie czego st. posterunkowy Szuwalski został lekko postrzelony. Kula Kmyty bowiem przeszła mu przez lewy rękaw. Cała ta strzelanina trwała przez noc do godziny czwartej nad ranem. Posterunkowi oddali łącznie 25 strzałów. Kmyta zaś — jak później zeznał — około 40 strzałów. Mimo to nikt nie został ciężko rannym. Kmyta strzelał naprzemian z rewolweru i karabinu. Poddał się dopiero wówczas, gdy w karabinie zacięła się łuska. Widząc, że dalej nio może się bronić, wyszedł z domu Seniuty i oddał się w ręce policji, składając rewolwer, karabin i 12 naboi. Kmytę zakuto w kajdany i odstawiono do Lwowa.

Samobójstwo rabina. Wielkie wrażenie w Grodzisku wywołał zamach samobójczy rabina tamtejszego, 63-letniego Malinickiego. Mianowicie w przystępie ataku nerwowege wyskoczył on z okna 2-go piętra na bruk uliczny i doznał połamania obu nóg w stawach biodrowych. Rabin od kilku tygodni zapadł bardzo na zdrowiu. Dlatego starał się o delegację do Palestyny, lecz kolegjum rabinów pominęło go przy wyborach. Rabin tak się tem przejął, że wpadł w rodzaj choroby umysłowej; miewał częste napady przywidzeń. Onegdaj zdawało mu się, że przyszli do niego mieszkańcy Grodziska, żądając zwrotu złożonych na Palestynę ofiar. Z krzykiem rzucił się do okna i nim ktokolwiek mógł mu przeszkodzić, skoczył w dwupiętrową otchłań. W stanie bardzo ciężkim przewieziono go do szpitala w Warszawie.

Morderstwo z zemsty. Młody robotnik rolny we wsi Kleczewie pod Łodzią, niejaki Andrzej Teske, zamordował w okrutny sposób swego chlebodawcę gospodarza Stanisława Zakrzewskiego, poczem sam popełnił samobójstwo. Teske kochał się od dłuższego czasu w córce gospodarza i, zdaje się, cieszył się jej wzajemnością. Ojciec, chcąc zapobiec tej miłości, wydał córkę zamąż za jednego z sąsiadów. Teske postanowił zemścić się i gdy Zakrzewski szedł samotnie drogą, napadł go z tyłu i wyostrzoną siekierą zadał mu kilkanaście ciosów w głowę. Zakrzewski runął na ziemię, zalany krwią, morderca zaś zbiegł. Straszliwie zmasakrowane zwłoki Zakrzewskiego odnalazł jeden z przejeżdżających wieśniaków, który zaalarmował policję. Na miejsce zbrodni sprowadzono z Łodzi psa policyjnego, który dobiegł do brzegu rzeki Bzury i tu się zatrzymał. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Teske po dokonaniu zbrodni rzucił się do rzeki i utonął. Na brzegu rzeki pozostawił skrwawioną siekierę.

Krwawy pojedynek dzieci. W Gracu odbył się pojedynek dwu malców 12-letnich, Karola Szuberta i Ericka Döhme, uczniów 2-giej klasy gimnazjalnej. Powodem starcia na pistolety była „obraza honoru", spowodowana wyrażeniem „stary osioł", którego użył Döhme pod adresem kolegi. Uczniacy sprzedali książki szkolne a za uzyskane pieniądze kupili dwie krócice. Warunki pojedynku były bardzo ostre: odległość 15 kroków i podwójna wymiana kul. Jako sekundanci występowali dwaj koledzy, a trzecioklasista był kierownikiem pojedynku. Przy drugiej wymianie kul obaj malcy odnieśli rany. Erick Döhme ma przestrzelone ramię, Karolowi Schubertowi zaś kula rozszarpała policzek.

Piorun przesadził drzewo. Wiemy, jakie szkody wyrządza piorun ludziom, szczególnie na wsi, gdzie mieszkańcy nie zaopatrują się w piorunochrony często dobytek cały przez pożar od uderzenia pioruna zostaje pochłonięty. Bywają nieraz najrozmaitsze wypadki dziwnie związane z wyładowaniem elektryczności, zwłaszcza uderzeniem pioruna. Taki wypadek zdarzył się niedawno w Niemczech. Uderzył piorun opodal strzelnicy, wyrwał 20 tonn ziemi wraz z czereśnią i przerzucił masę tę o kilkadziesiąt metrów. Tak więc czereśnia, rosnąca uprzednio na uboczu, została w ten sposób przesadzoną na środek strzelnicy, nie doznawszy żadnej krzywdy. Rośnie nadal i rodzi owoce. Widzimy więc, że złośliwy piorun przesadził drzewo owocowe z jednego miejsca na drugie. Czy przestrzegał przepisów ogrodniczych przy przesadzaniu drzewa — niewiadomo.

Ukarana kokieterja. Młody, 24-letni malarz włoski Giacomo Andreo cieszył się w czasach ostatnich

w Rzymie ogromną popularnością. Zwłaszcza damy arystokratyczne nieraz wzywały Andrea, aby je portretował. Ogólnie szeptano sobie na ucho, że przyczyną tego powodzenia jest nietylko wielki talent malarza, ale niezwykła jego uroda. Przed dwoma miesiącami rozpoczął młody malarz portretowanie jednej z najpiękniejszych arystokratek rzymskich, hrabiny Agnieszki Vestanza. Młoda, piękna, otoczona zawsze licznym rojem wytwornych wielbicieli zainteresowała się mimo to malarzem i wyraziła życzenie posiadania swego portretu jego pędzla. Kilka posiedzeń wystarczyło, aby Andreo zakochał się w hrabinie po uszy. Ta widziała uczucie młodego zapaleńca, ale udawała, że niczego nie spostrzega. Ale w żyłach malarza płynęła gorąca krew włoska. Pewnego wieczora, po skończonem posiedzeniu oświadczył hrabinie, że ją kocha i bez niej żyć nie może. Hrabina z gestem wielkiej pani dała mu do poznania, jaka przepaść ich dzieli. Ale malarz, któremu poprzednie zachowanie się hrabiny pozwalało rokować nadzieje, zagroził arystokratce, że pozbawi życia ją i siebie. Z wyniosłym uśmiechem zlekceważyła dama tę groźbę i nakazała, aby ją natychmiast pozostawił samą.



Młodzieniec dobywszy rewolweru strzelił najpierw ponad głową hrabiny a gdy i to nieskutkowało doprowadzony do szału celnym strzałem zabił hrabinę Vestanzę a następnie skierował broń ku swemu sercu, raniąc się bardzo ciężko. Afera ta rozeszła się głośnem echem we Włoszech. Stan malarza jest bardzo poważny, ale zdaniem lekarzy, życiu ranionego nie grozi niebezpieczeństwo. Nawiasem należy zaznaczyć, iż Andreo posiada narzeczoną, z którą zerwał stosunki od chwili poznania hrabiny Vestanza. Młoda ta dziewczyna na wieść o straszliwej tragedji doznała tak silnego wstrząsu nerwowego, iż musiano ją umieścić w zakładzie dla chorych nerwowo. Wypadek ten i jemu podobne powinny być ostrzeżeniem, że z miłością igrać nie można.

Przypadkowy bogacz. Pewien młody, student włoski, Eugenjusz Lacosta, który stale uczęszczał do bibljoteki wytykańskiej w Rzymie, doszedł niespodziewanie przed paru dniami we wspomnianej bibljotece w osobliwy sposób do wielkiego majątku. Lacosta, przybywszy do watykańskiej bibljoteki, zażądał od bibljotekarza starej książki Emila Fabrier de Revisa, dawno zmarłego autora włoskiego. Przerzucając kartki, młodzieniec znalazł nagle kawałek papieru, na którym widniały następujące słowa:

„Ten, który znajdzie tę kartkę, niech zaniesie ją do mojego notarjusza i poprosi go o przeglądnięcie rejestru L. 1. Nr 162“.

Pod tą notatką znajdował się adres notarjusza i data: Rzym, 5 lutego 1784. — Eugenjusz Lacosta nie wziął bynajmniej na serjo owej karteczki i przypuszczając, że jest to jakaś mistyfikacja, ot, tak sobie, dla żartu tylko, postąpił wedle wskazówki i udał się do owego notarjusza, którego adres widniał na kartce. I tam ku wielkiemu zdumieniu i naturalnie szalonej radości ubogiego młodzieńca, urzędnik notarjalny wręczył mu czek na 8 miljonów lirów. Szczęśliwemu miljonerowi udzielono równocześnie następującego wyjaśnienia:

— Książka, którą pan przeglądał w bibljotece watykańskiej, była po wydrukowaniu jej tak ostro skrytykowana, iż autor, zniechęcony niepowodzeniem, postanowił nie napisać ani jednego wiersza więcej przez kilka miesięcy. Emil Fabrier de Revisa urządził następnie próbę: a mianowicie włożył ów bilet pomiędzy karty tomu, ażeby się przekonać, czy ataki krytyki zachęciły publiczność do czytania jego dzieła i czy dużo upłynie czasu, zanim ktoś czytając ową książkę znajdzie umieszczoną w niej kartkę autora. Nieszczęśliwy twórca czekał długie lata i zmarł, nie doczekawszy się żadnej pociechy.

Minęły lata i dopiero w tych dniach przypadkowo Eugenjusz Lacosta po raz pierwszy zażądał książki zmarłego autora, którego ongiś zniszczyła ostra krytyka. W ten sposób stał się niespodzianie właścicielem nieoczekiwanej fortuny, gdy tymczasem przez półtora wieku wszyscy stali bywalcy bibljoteki watykańskiej znajdowali się tuż obok szczęścia, o którem nie wiedzieli.

Dekret o czarownicach. W czasach, kiedy palenie czarownic wyszło już z mody, bo w r. 1770 na murach Paryża rozlepiony był następujący dekret parlamentu: „Każda niewiasta, któraby usidliła poddanego Jego Królewskiej Mości płci męskiej, i zmusiła go do małżeństwa przez użycie różu, albo bielidła, perfumu, lub jakichś innych ekstraktów, lub też posługując się sztucznemi zębami, peruką, strojami, gorsetami, krynolinami, obuwiem na wysokich obcasach, lub udając się tak dalece do oszukaństwa, bo aż do fałszywych bioder, będzie oskarżona o czarownictwo, a małżeństwo w ten sposób zawarte za nieważne“. Gdyby wydano obecnie u nas podobny dekret, to w miastach nie byłoby może ani jednego ważnego małżeństwa.

Zamieniony kubek trucizny. Sąd przysięgłych w Paryżu rozpatrywał onegdaj bardzo oryginalny wypadek kryminalny, niepozbawiony humoru. Proces dostarczył materjału nietylko prawnikom, ale również psychologom. Przed kilkoma miesiącami podstarzała pani Jamotte, urzędniczka pocztowa w pobliżu Paryża, zamieściła w dziennikach paryskich inserat, w którym oświadczyła gotowość poślubienia uczciwego, zdolnego do życia mężczyzny. Na inserat ten zgłosiło się kilku kandydatów, między innemi młody, 28-letni Pierre Lavalon, mechanik z zawodu. Pani Jamotte zakochała się odrazu w młodzieńcu i sprowadziła go do swojego domu, jako narzeczonego. Ale szczęście urzędniczki nie trwało długo. Lavalon wyjeżdżał często pod rozmaitemi pozorami do Paryża. W końcu p. Jamotte zażądała kategorycznie, aby Lavalon ożenił się z nią, na co oświadczył jej młodzieniec, że jego rodzice nie zgadzają się na ślub. P. Jamotte była zrozpaczona i nieustannie wspominała o samobójstwie. Wtedy Lavalon podał jej myśl, aby zginęli razem. W tym celu udał się do apteki i zakupił truciznę. Następnie wieczorem tego dnia, po obfitej uczcie, oboje pożegnali się i przygotowali do samobójstwa. Lavalon wsypał truciznę do dwu kubków na wino. Pani Jamotte chwyciła kubek i wychyliła go pierwsza duszkiem. Również Lavalon wypił swój, ale nie ten, który zawierał truciznę. W ostatniej chwili zamienił on swój na stojący obok trzeci kubek, który nie zawierał trucizny. Jamotte straciła przytomność i padła na podłogę. Wtedy Lavalon, nie troszcząc się już o swoją narzeczoną, otworzył szufladę jej biurka, wyjął z niej 30.000

franków i uciekł. Udało się ją odratować. Lavalona schwytano w dwa dni później w chwili, gdy wsiadał w Marsylji na statek, odjeżdżający do Afryki. Jakkolwiek Lavalon zamierzał popełnić zbrodnię morderstwa na osobie urzędniczki, sąd odrzucił ten zarzut, ponieważ urzędniczka przyznała, że zgodziła się na popełnienie samobójstwa. Wobec tego skazano go tylko za napad rabunkowy na 8 miesięcy więzienia.

Nieudana próba. Wielką sensację w Sztokholmie wywołało aresztowanie pewnego inżyniera, który wsławił się szeregiem ważnych wynalazków. Uwięziono go za puszczanie w obieg fałszywych banknotów, doskonale, nawiasem mówiąc, naśladujących prawdziwe stukoronówki szwedzkie. Zapytany o pobudki tego przestępstwa, inżynier tłumaczył się w sposób dość oryginalny. „Wynalazłem nową maszynę ulepszoną do drukowania banknotów i miałem zamiar zaofiarować ją rządowi, który nabył już odemnie kilka patentów. Sumienność nakazywała mi wszakże wypróbować uprzednio wartość tej udoskonalonej metody — nie mogę proponować tandety!..“ Próba wypadła niepomyślnie, gdyż wynalazca znalazł się pod kluczem.

Pielgrzymi tureccy. Każdy muzułmanin, uważający Mahometa za proroka, a więc każdy Turek, Arab musi być przynajmniej raz w życiu w Mecce, mieście arabskiem, w którem Mahomet nauczał. Dlatego Mekka jest zawsze przepełniona pielgrzymami muzułmańskimi z trzech części świata: Europy, Azji i Afryki. Teraz już dojeżdżają koleją, dawniej przyjeżdżali końmi i wielbłądami lub przychodzili pieszo.



Do obowiązków muzułmanina należy zabrać z Mekki trochę „świętej wody“ ze źródła, z którego według podania pijał Mahomet. Niedawno zdarzyło się, że na stacji w Mecce było bardzo dużo pielgrzymów, ale nie wszyscy zdołali naczerpać tej „świętej wody“. Tymczasem nadszedł pociąg i zbliżała się godzina odjazdu do domu. Ale pielgrzymi rzucili się z rozpaczą na szyny przed maszynę, i zagrozili, że nie ustąpią, póki wszyscy nie zdążą nabrać „świętej wody“. Naczelnik stacji musiał ustąpić i pociąg wstrzymać.

Rozwiedziony podlotek. Do sądu w Konstantynopolu zgłasza się czternastoletni podlotek, żądając rozwodu z mężem. Sędzia przybiera najgodniejszy wyraz twarzy i oświadcza, że w sądzie niema zabawek i że sąd niema czasu na żarty, szczególnie, że wydział rozwodów i bez tego ma już mnóstwo pracy. Ale mimo tej uwagi surowego sędziego młodziutka interesantka trwa przy swoim i przedstawia sprawę w sposób bardzo poważny. Wtedy dopiero okazuje się, że jej ojciec przed jedenastu laty ożenił się po raz drugi z wdową, która miała czternastoletniego chłopca, oboje postanowili pożenić dzieci, co się też stało przy pomocy pewnego kapłana tureckiego. Ta młodziutka para małżeńska stanowiła napewno najmłodsze stadło na całym świecie. Pożycie małżeńskie sprzykrzyło się jednak i oto owa niewiasta zażądała rozwodu. Dlaczego? Bo mąż ją zaniedbuje i woli bawić się z chłopcami a jednocześnie jest bardzo zazdrosny i nie pozwala, by ona bawiła się ze swemi przyjaciółkami. Powstawały zresztą spory i co do wspólnych zabawek. Wezwany do sądu mąż oświadczył, iż żona jego jest chciwa pochlebstw i próżna: wogóle zaś on jako pan domu nie może pozwolić na noszenie tak krótkich sukienek. A że małżonkowie są tak bardzo młodzi, więc sąd zwrócił się po opinję do rodziców, dopiero po ich wysłuchaniu można będzie wydać wyrok co do rozwodu, szczególnie że teraz brak jest dla udzielenia rozwodu naprawdę poważnych przyczyn.

Nowocześni korsarze. Rozbójnicy morscy na wodach europejskich czy amerykańskich, którzy swego czasu stanowili bardzo wdzięczny temat dla wielu powieściopisarzy, już od dawna przestali grasować. Jeżeli działają dotąd, to tylko na wodach chińskich, lecz i tam również zerwano już ze staremi dżonkami, mając do rozporządzenia łodzie jak najbardziej nowocześnie urządzone. Że tak jest, dowodzi bodaj napad na okręt norweski, którego dokonano 19 lipca b. r. Okręt ten płynął z Hong Kongu do Sajgonu. Gdy noc zapadła i pasażerowie spali już w kabinach, oficerowie nagle otoczeni zostali na pokładzie, a ponieważ chcieli zrobić użytek z broni palnej, więc dano do nich szereg strzałów, wskutek których kapitan okrętu został zabity, a drugi oficer ciężko ranny. Załoga i pasażerowie zostali bądź pokonani we śnie, bądź zamknięci w kabinach. Przywódca rozbójników, świetnie mówiący po angielsku, rozkazał pierwszemu oficerowi, by poprowadził okręt do pobliskiego portu Bras-Bai i oświadczył, że na wypadek oporu każe pozostałych oficerów rozstrzelać. A że stacja telegrafu iskrowego była obsadzona przez rozbójników na samym początku, więc mowy nie było o wzywaniu pomocy. Gdy okręt przybył wreszcie 20 lipca do Bras-Bai, wszystkie rzeczy wartościowe i towary wyładowali rozbójnicy do dwóch łodzi, zabrali pieniądze i przesyłkę złota wartości 20 tysięcy dolarów, a płatniczego okrętu, sześciu pasażerów i kelnera wzięto jako zakładników. Potem dopiero wolno było okrętowi popłynąć w dalszą drogę. Ponieważ napady zbójeckie tego rodzaju powtarzały się w tej okolicy, więc Anglicy wysłali do Bras-Bai ekspedycję karną, złożoną z czterech okrętów wojennych i szeregu samolotów. Ekspedycja dotarła do miejsca, stwierdziła jednak, że ubogie chatki rybackie są puste, poprzestała więc na tem, że je spaliła doszczętnie. Rozbójnicy zaś paradowali elegancko ubrani z dobrze wypakowanemi portfelami.

Stulecie Chicago. W r. 1933 Chicago w Ameryce, w którem mieszka około 200 tysięcy Polaków, obchodzić będzie uroczyście stulecie swego istnienia. Zarząd miasta w porozumieniu z ludnością postanowił uczcić tę rocznicę bardzo uroczyście w ten sposób, że zbuduje gmach o charakterze międzynarodowym, który będzie się nazywał świątynią zdrowia. Będzie to olbrzymia budowla, wzniesiona kosztem 25 miljonów dolarów. Zawierać ma ona szereg instytutów do badań, mających na celu niesienie ulgi całej ludzkości. Punktem najważniejszym tej budowli będzie wielki szpital, który będzie mógł pomieścić tysiące chorych, będzie to niezaprzeczenie największy szpital w całym świecie.

Z ostatniej chwili.

Sejm został odroczony na 30 dni zaraz na drugiem swem posiedzeniu.

RZECZY CIEKAWE.

Ilość nauczycieli w Polsce.

Ogólna liczba nauczycielstwa w szkołach powszechnych w państwie polskiem w roku szkolnym 1922—23 wynosiła 57.627. W ciągu czterech lat przyrost tych sił wynosił 5.920, tak że liczba ich w roku szkolnym 1926—1927 wynosiła 63.547.

W roku szkolnym 1923—24 nauczycielki stanowiły jeszcze 60 proc. w stosunku do nauczycieli. Liczba ich wynosiła bowiem 35.583, zaś liczba nauczycieli 25.859. W roku 1926—27 wzrosła natomiast liczba nauczycieli do 28.243, podczas, kiedy stan liczebny nauczycielek pozostał prawie że niezmieniony.

Kwalifikownych sił nauczycielskich w r. 1922—23 było 34.664 czyli 60.2 proc., natomiast czasowo kwalifikowanych i niekwalifikowanych było 22.963 czyli 39.8 proc. Tymczasem w r. 1926—27 było kwalifikowanych sił już 54.968 czyli 86.5 proc., natomiast czasowokwalifikowanych i niekwalifikowanych było zaledwie 8.579 czyli 13.5 procent.

Największą ilość sił nauczycielskich niekwalifikowanych posiadają województwa wschodnie, bo aż 41.2 proc. Potem idą województwa centralne z 16.6 proc. sił niekwalifikowanych, wreszcie województwa zachodnie posiadają 9 proc. niekwalifikowanego nauczycielstwa.

Natomiast województwa południowe, czyli Małopolska nieukwalifikowanego nauczycielstwa w szkołach powszechnych wogóle nie posiada. Oczywiście, że stan taki zawdzięcza swej dawniejszej autonomji, w ramach której mogło rozwijać się szkolnictwo polskie.

Król bogaczy.

Tylekroć zadawali sobie ludzie pytanie, kto też jest najbogatszy na świecie. Sprawę tę wyjaśnia pewien dziennikarz angielsko-indyjski R. Sin[illegible], który pisze:

W Europie i Ameryce ogólen panuje przekonanie, że najbogatszym człowiekiem świata jest Ford, czy też jego rywal i „przyjaciel", król nafty Rockefeller. Jakokolwiek rzeczywiście fortuna tych Krezusów amerykańskich wynosi niezliczone mnóstwo miljonów dolarów, mimo to mogę oświadczyć z największą stanowczością, że to ogólne mniemanie jest najzupełniej mylne. Najbogatszy człowiek świata nie żyje w Ameryce, lecz w Indjach.

Nie sądźmy jednak, że tego arcybogacza należy szukać wśród maharadżów znaczniejszych państw indyjskich. Najbardziej uposażonym przez fortunę nababem Indyj jest monarcha, którego państewko nie odznacza się wcale nadzwyczajnemi rozmiarami, książę Kothi, władca kraju Heidarabad. Skarby tego monarchy składają się wyłącznie z brylantów oraz innych klejnotów, a dalej z platyny, złota i srebra. Kothi, absolutny władca w swojem państwie, posiada 13 miljonów podwładnych. Obciążeni są oni znacznemi podatkami, a nadmiar sum, które wpływają, przemienia się corocznie w klejnoty i drogie kruszce. Wszystko to jest prywatną własnością maharadży.

Skarbiec księcia Kothi, to osobny, potężny gmach. Część skarbów spoczywa w piwnicach, w specjalnych nowoczesnych kasach ogniotrwałych, sprowadzonych z Anglji. Ilość i wartość skarbów pomnaża się ciągle, gdyż wydatki bieżące pokrywa się z odsetek osobnego kapitału. Corocznie tedy niemal okazuje się konieczność powiększania skarbca. Ciągle sprowadza się nowe kasy ogniotrwałe z Anglji itd.

Byłem pewnego razu w pewnej ubikacji skarbca przeznaczonej na przechowywanie drogich kamieni. Oczom moim przedstawił się imponujący, a zarazem prawdziwie czarodziejski widok: W szeregu kaset, misternie wyrzeźbionych, spoczywały stosy bezcennych klejnotów. A gdy otworzono wszystkie kasety, kamienie zaczęły grać tęczą najcudowniejszych kolorów. Istna symfonja kolorów i świateł — widowisko, którego nigdzie zresztą ujrzeć nie można. A takich kaset było w tej ubikacji pięćdziesiąt! Wartość kamieni, znajdujących się tylko w tej jednej ubikacji, obliczono na sto pięćdziesiąt miljonów dolarów! A stanowią one tylko bardzo drobną część ogólnego majątku księcia Kothi.

Również inni władcy indyjscy posiadają wspaniałe skarby, a zwłaszcza przepiękne kolekcje drogich kamieni. Nikt jednak nie może w tym względzie dorównać maharadży z Heidarabad, który zresztą jest świetnym znawcą i fanatycznym miłośnikiem drogich kamieni. Książę Kothi kocha się zwłaszcza w szmaragdach, których posiada najcudowniejszy zbiór. Miałem szczęście kilkakrotnie podziwiać tę cudowną i jedyną w świecie kolekcję.

Wartałoby wiedzieć, czy w państwie księcia Kothi są, czy niema żebraków.

Z życia goryli.

Do belgijskiego Kongo wyruszyła niedawno wyprawa naukowa pod kierownictwem pułkownika Fenna i Dr. Burgessa. Mieli oni głównie za zadanie dowiedzieć się dokładnie, jak też żyje goryl.

Okazało się, że tereny, zamieszkałe przez goryli, są tak gęsto zalesione, że trudno jest poprzez gęstwinę sięgnąć okiem dalej niż o parę metrów. Puszczę tę przecinają jedynie ślady goryli, które w gąszczu wydeptały sobie ścieżki wysokości od 90 do 120 centymetrów.

Fenn wszedł właśnie na jedną z takich ścieżek, by zbliska posłuchać wycia goryli; nagle stanął przed nim goryl z rozdziawioną paszczą i wyciągniętem lewem ramieniem. Fenn cofnął się nieco w tył i wtedy dopiero strzelił, sięgając gorylowi niemal lufą do piersi. Goryl został raniony. Fenn jednak zgubił ślady krwi i odnalazł zabite zwierzę dopiero następnego ranka.

Po wielu trudach wyprawa dotarła z czasem do miejscowości Kalombi, gdzie natrafiła na ślad goryli. W dolinie tej było widać szereg samiczek, uwijających się dokoła młodych; gdy się pasły, młode nosiły na plecach. Szybko jednak zwietrzyły one przybyszów i uciekły. Wtedy uczeni dowiedzieli się, że samice goryli nigdy nie napadają na ludzi, lecz natychmiast znikają w razie niebezpieczeństwa.

Skoro tylko samice zniknęły, ukazał się olbrzymi samiec, stanął na zwalonym pniu i rozejrzał się dokoła, szukając myśliwych. Zastrzelono go kilku strzałami. Był to wspaniały okaz, mający w piersi objętości 155 centymetrów, a wysokości 170 centymetrów.

Według spostrzeżeń Fenna goryle nigdy nie występują stadami, zazwyczaj bowiem jeden samiec towarzyszy trzem, czterem samicom z młodemi. Zwierzęta te układają się do snu tam gdzie stoją, zlekka tylko zrobiwszy otwór w trawie. Nie budują sobie ani szałasów, ani nor trwałych. Goryle żywią się pędami trzciny, burakami i korą krzaków.

Fenn sądzi dalej, że goryle są mańkutami, bo gdy napadają, biegną na dwu nogach, podpierając się prawą ręką, podczas gdy lewa wyciągnięta jest naprzód.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych ioczta odsyła je p z powrotem.

Pp.: **Marja Wawrzykówna:** Serdecznie witamy dawną przyjaciółkę „Roli". Utwór na konkurs otrzymaliśmy. Prenumeratę na rok 1928 przesyłać już można. — **Maryśka z Kamionki:** Zastosujemy się do życzenia. — **Wł. Marko** w K.: Widocznie list gdzieś się zarzucił. Zagadki drukujemy w miarę miejsca. — **St. Stuliglówna** w G.: Niestety, nie do druku. Trzeba koniecznie czytać dużo poematów, to z czasem talent się wyrobi. — **Mieczysław Bodurek** w N. T.: Utwór na konkurs otrzymaliśmy. — **Mikołaj Krawczyk** w Z.: Nadesłany wiersz zupełnie dobry. Zamieścimy go poza konkursem, gdyż konkurs wierszy nie obejmuje. — **August Krok** w D.: Utwory konkursowe otrzymaliśmy. Wartość ich oceni jednak dopiero sąd konkursowy. — **Bachus:** Czy rzeczywiście Panu się zdaje, że nadesłaną humoreskę Pan ułożył? Bo my mamy inne przekonanie. — **„Yoga":** Zagadki otrzymaliśmy — dziękujemy. — **Nuśka Steuerówna** w K.: Za słowa uznania serdeczne dzięki. Wierszyki umieścimy. — **„Młody wierszokleta"** w P.: Wierszy na konkurs nie przyjmujemy. Nadesłany nam nie nadaje się do druku. — **Piotr Adamczak** w G.: Na pocztę w Markowej dotychczas nikt się nie żalił, więc zdaje się, że w gminie Pańskiej przetrzymują. Niech Pan upomni posłańca, a gdy nie pomoże, prosimy donieść nam. „Rolę" powinien Pan otrzymywać najpóźniej w sobotę. — **Jan Tryba** w Sz.: Do całorocznej prenumeraty potrzeba jest jeszcze tylko 3 złote. — **Maryla „Widz"** w O.: Owszem, owszem! Wierszyki milutkie. A nad tym: „Gdy kiedyś pójdziesz w dal" omało cała Redakcja nie płakała. Umieścimy. — **Jan Liszka** w S.: Utwór konkursowy otrzymaliśmy. — **Rudolf Hess** w K.: Oceni sąd konkursowy, którego wyroku uprzedzać nie możemy. — **Florjan Ciebiera** w Rz.: Otrzymaliśmy.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 20 wrzenia b. r.

Pszenica	50·50—51·50	Słoma długa	6·50—7·00
Żyto	00·00—00·00	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies	32·00—33·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień	36·00—39·00	Mąka żytnia	64·00—64·50
Fasola biała	00·00—00·00	Otręby żytnie	22·00—23·00
Łubin żółty	00·00—00·00	Mąka pszen.	85·00—86·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Otręby pszen.	22·00—23·00
Siano słodk.	11·00—12·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę" w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli", mogą je otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Jakób Cichoń z P.).

■ ☆ ☆ ☆ Napój.
■ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Azji.
■ ☆ ☆ ☆ Pismo.
■ ☆ ☆ ☆ Imię żydowskie.
■ ☆ ☆ ☆ Miasto południowe.
■ ☆ ☆ ☆ Miasto chińskie.
■ ☆ ☆ ☆ Żywność.
■ ☆ ☆ ☆ Bożek miłości.

Początkowe litery dadzą jedno z miast europejskich.

2. Logogryf.

(Ułożył F. Czakon z P.).

■ ☆ ☆ ☆ Zwierzę amerykańskie.
■ ☆ ☆ ☆ Ryba.
■ ☆ ☆ ☆ Ptaki domowe.
■ ☆ ☆ ☆ Zwierzę domowe.
■ ☆ ☆ ☆ Gromada zwierząt.
■ ☆ ☆ ☆ Żyją w wodzie.
■ ☆ ☆ ☆ Wspak zwierzęta drapieżne.
■ ☆ ☆ ☆ Zwierzę północne.

Początkowe litery dadzą nam pewien tytuł.

3. Szarady.

(Ułożył W. Ciepiela).

I.

Urywek z listu do emigranta:

Po Twym wyjeździe z kraju, gdy byłeś już bezpieczny, całość nawiedziła znów komisja śledcza ze sprawnikiem na czele. Zgraja ta w domu zacnych Twych rodziców obsiadła pod pierwszem, drugiem, pierwszem, drugie i trzecie, grożąc Sybirem zgodnym chórem, trzecie i drugie domagając się drugiej, pierwszej, trzeciej.

Z powyższzgo listu ustalić miejscowość „urzędowania" komisji.

II.

Pierwsza wstecz rzeką będzie,
Wspak druga biblijna niewiasta
Lub wprost, zwierz w legendzie,
Państwem druga trzecia.
Całość kwiat na grzędzie.

III.

(Ułożył Wł. Gleń z M.).

Drugie zieleń oznacza,
A pierwsze wskazuje,
Całość to jest miasto,
W Polsce się znajduje.

IV.

(Ułożył Wł. Gleń z M.).

Pierwsze rzeka, we Włoszech się znajduje,
Pierwsze i pół pierwszej osobę duchowną [wskazuje,
Drugą też i trzecią to w muzyce znamy,
A pierwszą i czwartą to znów w roku mamy.
Całość nasze gosposie bardzo dobrze znają,
Bo z niej smaczną potrawę często sporządzają.

4. Przestawianki.

I.

(Ułożył Lechowicz Antoni).

Co widzę? Był tu dziedzić, syn Grzesiek i Mojsze Słoton!

Z powyższego zdania ułożyć przysłowie.

II.

(Ułożył Antoni Król z B.)

Edward Piotr Zielony
Odak.

Z powyższych liter ułożyć zawód tej osoby.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 2-go października b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 37 „Roli": 1. Logogryf: Eliza Orzeszkowa - Marja Konopnicka. 2. Łamigłówka geograficzna: Wielka Brytanja. 3. Łamigłówka zoologiczna: Podiceps cristatus. 4. Łamigłówka w kwadracie: Maciek Bzdura. 5. Przysłowie: Czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jan Strasik z L., Gabrjel Wirstnik z Szcz., Wł. Marko z K., „Yoga" z K., Stanisław Sikrawa z S., Marcin Nalepa z D.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Strasik z L. i Marcin Nalepa z D.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Też racja...

Tak mi strzyka w lewej nodze, że ledwo mogę chodzić.

— Hm... to objaw wieku, przypuszczam.

— Głupstwo! Wszak prawa noga ma tyleż lat, co lewa, a nie boli wcale.



W szkole.

— Panie profesorze, czy można być ukarany za coś, czego się nie zrobiło?

— Broń Boże, mój chłopcze...

— Bo ja nie zrobiłem mych zadań.



— Janie, znów się upiłeś jak bela, czy nie możesz się od tego trąbienia odzwyczaić?

— Nie, proszę pana, to już dziedziczne.

— Więc twój ojciec był pijakiem?

— Nie... ale był pocztyljonem!

W wiejskiej szkole.

Mały Janek nie przyszedł do szkoły, a żaden z kolegów nie umiał podać powodu jego nieobecności. Na drugi dzień zjawia się Janek w szkole.

— Dlaczego nie byłeś wczoraj w szkole — pyta nauczyciel.

— A bo — płacząc mówi Janek — gdy szedłem do szkoły, zobaczyłem, że na płocie wiszą spodnie pana profesora, więc wróciłem do domu, bo myślałem, że nie będzie szkoły.



Logika.

— Nie powinniście pić tak dużo. To was zabije.

— Ależ przeciwnie, picie już raz uratowało mi życie.

— Jakto?

— A tak. Kopałem kiedyś studnię. Wtem pomyślałem sobie: dobrze byłoby się napić. I co pan powie? Ledwie wylazłem na wierzch, a studnia zawaliła się.

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli“ wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I., II. i III-go kwartału po 2 zł. 60 gr. Prenumeta kwartału bieżącego kosztuje 3 zł. 40 gr.

Wszyscy Czytelnicy prenumerujący „Rolę“ jak również kupujący w sklepach i agencjach mogą otrzymać numera brakujące po nadesłaniu 25 groszy za każdy numer, należytość można nadsyłać też w listach znaczkami pocztowymi.

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja“: Nr... nie otrzymałem i swój adres.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: Konto pocztowe **406.301 Kraków.**

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie,
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Konkurs.

Chcąc zachęcić naszych Czytelników do próbowania sił na polu literackim, a innym dać jak najwięcej rzeczy ciekawych do czytania, ogłaszamy niniejszem konkurs na powiastkę, opowiadanie, legendę, bajkę, humoreskę lub wreszcie artykuł poważny.

Warunki konkursu są następujące:

Utwór musi być oryginalny, to jest z nikąd nie przepisany, ani przez nikogo innego nie opowiedziany. Musi zawierać treść zajmującą, odpowiednią dla „Roli“, napisany w formie przystępnej. Objętość utworu nie może zajmować więcej aniżeli jedną stronnicę „Roli“. Musi on być pisany czytelnie, po jednej stronie papieru.

Prace można nadsyłać już. Termin zamknięcia konkursu podamy nieco później. Jako nagrody za najlepsze utwory przeznaczamy kilkanaście cennych książek powieściowych, które otrzymają autorowie 10 najlepszych utworów. Tak nagrodzone, jak i nienagrodzone a dobre utwory będą drukowane kolejno w „Roli“.

W razie napłynięcia większej ilości dobrych utworów ilość nagród powiększymy.

Celem ułatwienia pracy sądowi konkursowemu, złożonemu z wydawcy i Redakcji „Roli“ prosimy o wczesne nadsyłanie utworów.

Redakcja „Roli“.